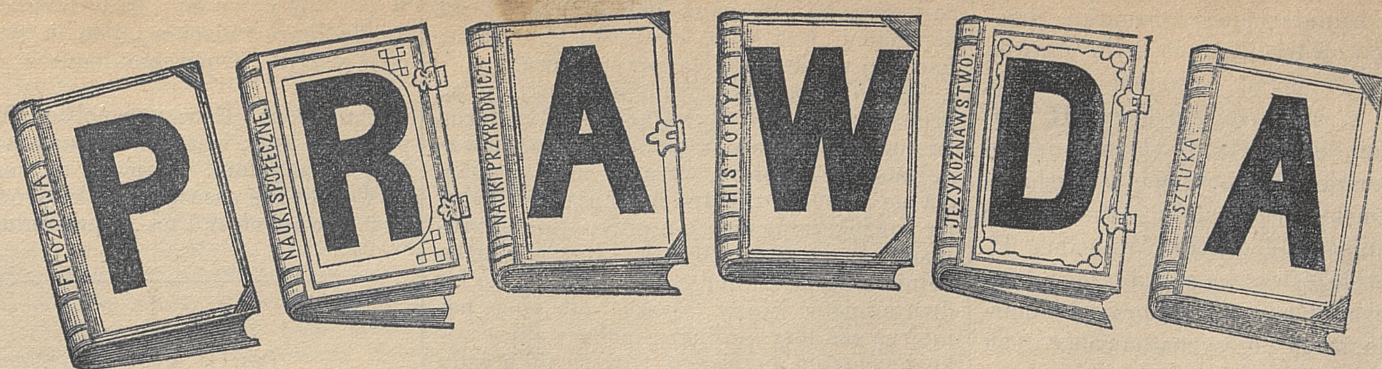
Nr. 22. Warszawa, dnia 31 (19) Maja 1890 r. **Rok X.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZWIERZENIA.

„Książę był widocznie w dobrym humorze; naprzekór wszelkim doniesieniom i opowieściom nie okazywał ani twarzą, ani słowami dąsów i *frondowania...* Wesół i spokojny, w kole swojem wypoczywa po sprawach państwowych, nie zdradza niczem pognębienia, umie zażywać wczasu...“ Tak zapewnia korespondent gazety *N. Wremia*, który odwiedził Bismarka w Friedrichsruh i ogłosił ciekawą z nim rozmowę. Gdyby p. Lwow mógł był uwolnić się od tych uroków, które na niego rzucił dostojny gospodarz, a które oczarowanemu gościowi kazały pomimo braku apetytu jeść i pić według woli hypnotyzera, zapalać mu fajkę, wzruszać się widokiem barona Ohlena, całującego na pożegnanie rękę kanclerską i widzieć dwa psy siedzące przez cześć dla pana „w odpowiedniej od niego odległości,“ byłby niewątpliwie dostrzegł i tłumiony gniew, i żal, i melancholię w tych samych słowach, które do niego w przedmiocie swego ustąpienia wyrzekł: „Cesarz, poczuwszy w sobie nadmiar sił, chce sam być swoim kanclerzem. Jest to dla mnie *bolesnem*, że zeszłego roku oświadczyłem jednemu z potężnych władców europejskich: *wierzę* niezłomnie, iż do końca życia pozostanę na mojem stanowisku.“ Pomimo wszystkich dowodów przeciwnych, przytoczonych przez jego zahypnotyzowane *media*, nie ulega to żadnej wątpliwości, że Bismark jest zły, rozdrażniony i gotów do „stawienia się na wezwanie ojczyzny,“ tj. do walki, gdyż dawniej jedyne uprawnienie swego stanowiska i służby publicznej znajdował i uznawał w woli monarszej. Dlatego właśnie, że „dąsa się i fronduje,“ przyjął również i uraczył długiemi rozmowami dwu obcych korespondentów, czego nigdy dawniej nie robił i co poczytywałby sobie za wielką ujmę. Znaną jest jego jawnie głoszona wzgarda dla dziennikarzów, w lekceważeniu zaś niżej od niego stojących ludzi i ciekawych gości przekraczał najdalsze granice możliwości. Wiadomo, że prośby o nieograniczony urlop i prawo stałego przemieszkiwania na wsi usprawiedliwiał, między innymi powodami, potrzebą i chęcią uwolnienia się od wizyt natrętnych dyplomatów. Niejeden poseł państwa zagranicznego musiał długo starać się i czekać, zanim mu pozwolono przybyć do kanclerskiego folwarku. Dziś, straciwszy pioruny, Jowisz odgarnął chmury, zeszedł z Olimpu i w każdą konchę uszu zlewa swe żale. Więc przyjął p. des Houx i p. Lwowa. Jego zwierzenia przed nimi zawierają kilka twierdzeń i wywodów ciekawych.

Posłuchajmy naprzód, co powiedział pierwszemu. Wojna z r. 1870 była — według niego — winą Francyi. Gdy wypadła nieszczęśliwie, chciał on „wziąć tylko to, co było bezwzględnie koniecznem“ i o skromność swych żądań walczył energicznie, ale „okryci sławą żołnierze nałożyli mu swoje warunki.“ Był więc jagnięciem, które wiele przecierpiało za swą niewinność i któremu dopiero partya wojskowa kazała odegrać rolę wilka. Rozumie się i w przyszłości Niemcy będą archaniołami pokoju. „Niemcy nigdy, rozumiesz mnie pan—rzekł Bismark — nigdy ani nie napadną Francyi, ani jej nie pobudzą do napadu; nigdy szukać nie będą ani pośredniego, ani bezpośredniego pozoru do wojny. Nie możemy was zaczepić, gdy nasza konstytucya zabrania nam zwoływania landszturmu i landwery do wojny zaczepnej. Gdybyśmy zaś chcieli tę konstytucyę naruszyć, wtedy naród niemiecki włożoną mu do ręki broń zwróciłby przeciw rządowi.“ „Na, na!“ — wołają zwykle na takie bajdy w sejmie. Po wojnie francusko-pruskiej, wypowiedzianej przez Francyę, a podstępnie przygotowanej przez Prusy, nikt tego rodzaju lisim zapewnieniom wierzyć nie będzie i nie może. Co do konstytucyi, która ma być tak strasznem wędzidłem dla zachcianek wojowniczych, to naprzód można, jak w r. 1870, oszukać ją, mianując napaść obroną, a powtóre zgwałcić. Ów zaś „naród niemiecki“ nie jest tak groźnym, bo — według Heinego — raz go tylko Luther wstrząsnął religią, ale zaraz Fr. Drake uspokoił kartoflami. To też bardziej przekonywającym byłby inny argument w ustach Bismarka: pokój przynosi nam więcej korzyści, niż wojna — gdyby ten pokój nie pożerał owych korzyści dla przygotowania wojny.

W r. 1870 Bismark chciał oszczędzić Francyi ofiar, nawet oglądał Paryż, aby go nie burzyć, później popierał swą nieprzyjaciółkę we wszystkich sprawach, zachwycony jest nią dzisiaj — czegoż więcej potrzeba było dla pana Houx, ażeby od takiego zacnego i wspaniałomyślnego człowieka wyjechać zachwyconym?

Naturalnie był i jest również Bismark przyjacielem Rosyi, o czem nawet *N. Wremia* wątpi. Na kongresie berlińskim „dał jej Batum, był niejako sekretarzem hr. P. Szuwałowa i spełniał wszelkie jej życzenia. Jeżeli zaś — powiada *teraz*, zamiast wówczas — gabinet petersburski mniej żądał, niż był powinien, to nie moja wina.“ Znany zakaz przyjmowania papierów rosyjskich w bankach rządowych pruskich także nie obciąża czystego sumienia Bismarka. On chciał bowiem tylko, ażeby nie kupowano wogóle papierów obcych, lecz niemieckie; jeżeli zaś przytem gazety (utrzymywane z funduszu gadzinowego) grzmiały jedynie przeciw Rosyi i podkopywały jej kredyt, to on temu „nie mógł zaradzić.“ Battenberga także nie wprowadzał do Bułgaryi, gdyż był to kandydat rosyjski. Koroną blagi tych zwierzeń, obliczonych na łatwowierność, była wreszcie uwaga Bismarka, że Rosya nie potrzebuje mieć w Berlinie zdolnych dyplomatów, bo węzeł jej interesów spoczywa w Wiedniu. „Tam trzeba patrzeć“ — dodał, ale na ręce czynne w Berlinie nie należy zwracać uwagi.

To widoczne wyprowadzanie w pole naiwnych słuchaczów, przyjmujących liczmany za dobrą monetę, nazwano „zdradza-

niem tajemnic urzędowych.“ Nie przeczymy, że w wynurzeniach Bismarka przemknęło tu i owdzie coś, co było prawdą a pozostawało dotąd sekretem (jak np. wzmianka o zamiarze Napoleona III zdobycia Belgii, o projekcie oddania jednej z sióstr cesarza Battenbergowi, o przebiegu narad berlińskich itp.); ale z pewnością nie te wspomnienia dotknęły Wilhelma II. Uraziły go lekceważące słowa o jego działalności i uparcie powtarzana przez Bismarka nadzieja, że go „ojczyzna powoła.“ Tak np. międzynarodową konferencyę w sprawie robotniczej nazwał on „uderzeniem w wodę.“ Tego nie mówi „wierny sługa“ o swym panu przed całym światem.

Ze zwierzeń tedy Bismarka można wydzielić kilka ziaren prawdy, ale po odsianiu ich pozostają przeważnie plewy, na które mogą się łapać tylko wróble. Faktycznie bowiem nienawidził on Francyi, nienawidził Rosyi, oszukiwał i w błąd wprowadzał obie, a jeżeli czasem jednej lub drugiej wyświadczał usługi małe, to dlatego, ażeby tym kosztem zdobyć korzyści wielkie. Sam kiedyś współczucie dla innych narodów ochrzcił „chorobą;“ tej chorobie on nigdy nie uległ.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Naprzód morfinista, potem alkoholik, wreszcie psychopata z rozstrojem umysłowym — jak widzimy, postęp w „poglądach“ na Bismarka szybki. Nawet cesarz, dowiedziawszy się o jego rozmowach z korespondentami, przed którymi wyznał, że nie pochwalał podróży konstantynopolitańskiej, konferencyi robotniczej itd., miał rzec: „są to objawy patologiczne, po których nie można będzie już niczemu się dziwić.“ Jak dziś opowiadają wtajemniczeni, tego wieczoru, kiedy rozstrzygnęła się ostatecznie sprawa dymisyi Bismarka, wpadł on w taki stan rozdrażnienia i furyi, że żona obawiała się groźnych następstw: naprzemiany szalał, płakał, wymyślał, druzgocząc wokoło sprzęty. Teraz zaś bądź wyraża nadzieję, że jeszcze go „ojczyzna powoła,“ bądź też zapewnia: „wszystko, wszystko skończone, bardziej niż ktokolwiek przypuszcza.“

W łonie opozycyi sejmu niemieckiego, po gruntownej, przekonywającej, z niezmierną znajomością spraw wojskowych opracowanej mowie Richtera, wzrasta zamiar oparcia się nowemu zapotrzebowaniu pieniędzy na powiększenie armii, a przynajmniej zrównoważenie tego ciężaru krótszą służbą żołnierską. O zmniejszeniu ostatniej do lat dwu minister wojny słyszeć nie chce; ponieważ zaś losy projektu spoczywają w rękach centrum, gotowego zawsze do handlu i sprzedaży swych głosów za dary dla Kościoła, więc pomimo protestu postępowców „szruba bez końca“ dalej się wkręci.

A i ci postępowcy może rozłamią się na dwa obozy w tej sprawie. Śród nich bowiem dojrzewa rozdział, po części spowodowany niesnaskami osobistemi, po części zaś różnicą zasad. Richter wraz ze swoją grupą chce pozostać nieprzejednanym, Hänel znowu i jego przyjaciele radziby wejść w związek z rządem. Nadto Richter, który zdobył wawrzyny w walkach parlamentarnych i niejednokrotnie zwyciężał nawet Bismarka, zanadto wyrósł ponad swych towarzyszów, ażeby oni mogli znosić jego przewagę. Ludzie mali wtedy poddają się kornie woli wielkich, gdy są przez nich zdeptani; inaczej nienawidzą ich i usiłują z pod ich wpływu się wydobyć. Toż samo zrobili z Richterem, pozbawiwszy go zręcznie ukutym spiskiem honorowego miejsca w swem stronnictwie, zapominając, że ono jemu w znacznej części swój byt zawdzięcza.

Po ustąpieniu Bismarka w Kole polskiem ożyły nadzieje: powzięto myśl złożenia swych skarg na stopniach tronu i z otuchą zainterpelowano nowego kanclerza o zamiary względem polaków. Caprivi nie odpowiedział, a wielcy polityce, do których z wysokim komizmem przyłącza się zwykle *Kraj* petersburski, wyciągnęli z tego milczenia pomyślne wróżby. Z tym naiwnym optymizmem spierać się i przypominać mu dawne zawody — nie warto.

Cesarz niemiecki uległ nieszczęśliwemu wypadkowi: wyskoczył z powozu, przy którym rozbiegały się konie i zwichnął nogę. Nastąpił przytem upływ krwi, który jednakże ma być niegroźnym.

Ugodę czesko-niemiecką rozbijają już sami jej twórcy — staroczesi. Że ona w obecnej postaci nie utrzyma się — jest to więcej niż pewnem. Rząd wszakże ma nadzieję doprowadzenia jej do skutku i w tym celu wszedł w porozumienie z młodoczechami.

Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej objeżdża kraj, wszędzie witany z życzliwością lub zapałem. Francuzi są zachwyceni, że Carnot nie oszczędza, jak Grévy, pieniędzy dawanych mu na „reprezentacyę.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„NATIONALIST LEAGUE AGITATION.“

Mniej więcej przed dwoma laty ukazał się w Bostonie utwór mało znanego zresztą dotychczas beletrysty Edwarda Bellamy p. t. *Looking backward 2000—1887*. Autor, porwany tak modnem obecnie spozieraniem w przyszłość, powziął zamiar przedstawienia w powieści, jak będzie wyglądała ludzkość w r. 3000. Skreślił on jedną olbrzymią wszechziemską rzeczpospolitę z głównem ogniskiem w Bernie, wysnuł rojenia co do wynalazków technicznych, które znajdą się wtedy w posiadaniu rodu ludzkiego, słowem, poszedł lub raczej zamierzał iść wzorem różnych Verne'ów i nie-Verne'ów. Między innemi zabrał się do studyów nad pracami ekonomicznemi, usiłującemi z pierwiastków rozwojowych teraźniejszości odgadnąć możliwą przyszłość; te ostatnie badania tak go pochłonęły i zajęły, że porzucił rozpoczętą pracę i postanowił skreślić jedynie obraz samego ustroju społecznego, odrzucając wszelkie szczegóły rozwoju technicznego i dokonanych ujarzmień przyrody oraz odsuwając zbyt odskakujące od dnia dzisiejszego wzory społeczne. Dla zyskania większego koła czytelników zatrzymał formę powieściową, lecz sam wątek umieścił w roku 2000 i swój ideał ograniczył do Związku północno-amerykańskiego. Otrzymaliśmy w ten sposób pracę poniekąd naukową w szacie beletrystycznej; rachuba autora okazała się słuszną, jak to niebawem ujrzymy, tak słuszną, że gdy dzieło niejakiego Gronlunda *The cooperative Commonwealth*, niemal identyczne, lecz trzymane w tonie wykładu naukowego, mi-

---

1)

WIEK XXI.

I.

Sklepy w XXI wieku. *)

— W zamian za moje wskazówki objaśnij mnie pan o dawnym trybie zaopatrywania się w towary — rzekła moja towarzyszka na ulicy. Z czytania nie mogłam wynieść należytego pojęcia, jak dokonywaliście zakupów. Wszak posiadaliście sklepów bez liku z najrozmaitszymi towarami. Kobieta, zanim coś kupiła, musiała odwiedzić wszystkie te składy, ażeby dowiedzieć się, gdzie i co jest do wyboru?

— Naturalnie, że czyniła to — odparłem.

— Ojciec żartuje czasami, że jestem niezmordowaną komisyonerką. A jednakże czułabym się w krótkim czasie bardzo znużoną, gdyby mnie zmuszono do czegoś podobnego — ciągnęła Edyta z uśmiechem.

*) Jest to ustęp z powieści, z którą zapoznajemy czytelników na innem miejscu dzisiejszego numeru *Prawdy*.

— Poważniejsze kobiety uskarżały się równie, że obchodzenie sklepów zabiera dużo czasu, lecz damy światowe cieszyły się, że mają czem czas swój zapełnić.

— Ale jakim sposobem nawet najwolniejsze od zajęć były w stanie zajść do wszystkich sklepów, których przecie liczyliście na setki i tysiące?

— Naturalnie, że żadna nie zdołała tego uczynić. Kto dużo kupował, nabywał wkrótce wprawy i wiedział, gdzie co można dostać. Ze znajomości sklepów stwarzał sobie pewną wiedzę na własny swój użytek i kupował więcej i w lepszym gatunku za niższą cenę. Ale na to potrzeba było długiego doświadczenia. Tymczasem kto miał za dużo zajęcia lub kupował zbyt mało, za większą kwotę dostawał mniej towaru i naturalnie w gorszym wyborze. Niedoświadczeni tylko wyjątkowo nie przepłacali.

— Ale, pojmując tak dobrze wady waszego systemu, dlaczego nie porzuciliście go?

— Możnaby w tym względzie powiedzieć to samo, co o wszystkich naszych urządzeniach. Spostrzegliśmy braki, lecz nie umieliśmy im zapobiedz.

— Znajdujemy się w składzie towarowym naszej dzielnicy — rzekła Edyta; gdyśmy weszli przez olbrzymie drzwi do wspaniałego gmachu publicznego, który zwrócił już na siebie moją uwagę podczas porannej wycieczki.

Oczom człowieka z wieku XIX wygląd zewnętrzny zgoła nie przypominał sklepu. Wielkie okna były próżne; nie widać było żadnej wystawy lub reklamy dla ściągnięcia nabywców. Nad wejściem znajdowała się piękna rzeźba z kamienia, przedstawiająca grupę osób naturalnej wielkości, wśród której przedewszystkiem rzucała się w oczy bogini obfitości ze swoim rogiem. Stosunek obu płci wśród wchodzącego i wychodzącego potoku ludzkiego był mniej więcej ten sam, co niegdyś za moich czasów. Na schodach Edyta zdążyła mnie uwiadomić, że podobny skład towarowy znajduje się w każdej dzielnicy, tak, iż nigdy niema do niego dalej, niż 5—10 minut drogi. Po raz pierwszy wstępowałem do wnętrza domów publicznych wieku XXI. Doznałem bardzo silnego wrażenia. Ujrzałem się w olbrzymiej sali, ktora otrzymywała światło nietylko ze stron wszystkich, lecz też z półkolistego sklepienia, które wznosiło się o setkę stóp nade mną. W pośrodku bił wodotrysk, odświeżał i chłodził powietrze. Ściany i sklepienia były łagodnej barwy, tak iż światło traciło swoją ostrość, lecz nie było przyćmione. Fotele i kanapki stały dokoła wodotrysku i kilka osób bawiło się rozmową. Napisy na ścianach oznajmiały, gdzie umieszczono jakie towary. Edyta skierowała swe kroki do miejsca, gdzie wystawiono najrozmaitsze próbki muślinu, i poczęła je oglądać.

— Gdzież są subjekci? — rzuciłem zapytanie, nie widząc nikogo za kantorem, ani

mo daleko większej wartości, jest znane zaledwie drobnym kołom czytelników, powieść jego ziomka, Edwarda Bellamy, rozeszła się w setkach tysięcy egzemplarzy. Zanim rozejrzymy się w wywołanym przez nią ruchu, przyjrzyjmy się wprzódy obrazowi nakreślonemu w powieści.

Młody a majętny yankee, niejaki West, znajduje się w przededniu zawarcia związków małżeńskich. Jest to młodzieniec zdenerwowany, mimo bliskiej żeniaczki cierpiący na pustkę życiową, bez żadnych ideałów w kierunku dobra społecznego. Bezsenność trapi go nocami; z tego powodu w podziemiu swego domu zbudował wygodną, a oprócz służącego nikomu nieznaną sypialnię, cichą, głuchą, bez hałasu. Tutaj zahypnotyzowany usypia. Pewnego dnia wraca rozgoryczony, bo robotnicy, budujący dom dla przyszłej młodej pary, urządzili bezrobocie, odsuwając w dalszą przyszłość dzień ślubu. Woła tedy magnetyzera, który go pogrąża w sen sztuczny. Nocą pożar niszczy dom wraz ze służącym, lecz podziemie ocalało. West obudzony zostaje dopiero wtargnięciem ludzi w r. 2000, którzy w tem miejscu kopali pod budowę pracowni chemicznej. Znajduje się wśród zupełnie nowego porządku społecznego, z którym poznajamia go rodzina dr. Leete, mieszkająca właśnie na gruntach dawnych Westa. W Związku północno-amerykańskim, zamiast dawnego mnóstwa przedsiębiorców oddzielnych, rozsiadł się teraz jeden olbrzymi: Naród. Cały obszar kraju ze wszystkimi zakładami przedstawia jakby jedno przedsiębiorstwo, znajdujące się pod kierownictwem tego samego centralnego zarządu. Wytwór ogólno-krajowy w ten sposób jest własnością Narodu i w ciągu dalszym zostaje za pomocą odpowiednich urządzeń doręczony obywatelom-spożywcom. Zdawałoby się, że taki układ ekonomiczny winien pociągać za sobą niezmiernie złożoną maszyneryę społeczną; tymczasem w istocie rzeczy wygląda prościej, aniżeli dzisiejsza gospodarka, złożona z mnóstwa odrębnych zakładów. Nadto umożliwia on lepszą znajomość potrzeb społecznych. Ponieważ wszystkie magazyny towarowe znajdują się pod kontrolą tej samej władzy zwierzniczej, zapomocą nader prostej czynności statystycznej wie ona, jakie są potrzeby społeczne i w jakich granicach mogą się one wahać z roku na rok, a odpowiednio do tego oznacza rozmiary samej produkcyi. Wykończone już produkty zostają rozmieszczone w stosownie urządzonych a olbrzymich magazynach, z których następnie są wydzielane spożywcom. Każdy obywatel otrzymuje na początku roku książeczkę kredytową z bonami, ocenionymi w „dolarach.“ Kiedy więc bierze jakiś przedmiot z magazynów lub żąda jakiejś usługi, odpowiednie władze wytłaczają stosowne znaki na bonie, który służy póty, póki cała jego wartość nie zostanie w ten sposób wyczerpaną. Dzięki temu urządzeniu nikt nie może przekroczyć udzielonego mu kredytu, który nadto jest imienny. Podobnie wartość każdego przedmiotu i usługi jest wyznaczona w „dolarach,“ które są zresztą jedynie idealnym miernikiem bez faktycznego istnienia; zależy zaś ona od kosztów wytwarzania, mierzonych ilością zużytej pracy ludzkiej. Zasada ta rządzi wszystkimi wytworami codziennego użytku, które można wyrabiać w dowolnej liczbie; przedmioty zaś, względem których zapotrzebowanie przewyższa istniejącą podaż, podlegają innemu ocenieniu, uwzględniającemu też czynnik rzadkości. Każdy obywatel jest obowiązany do 25-letniej służby w tak zwanej „armii pracy.“ Mianowicie do roku 21 kształci się w zakładach humanitarnych, z nauczycielami odbywa wycieczki do fabryk i zapoznaje się z różnymi rodzajami produkcyi. Wreszcie staje się członkiem „armii.“ Przez pierwsze lat trzy spełnia obowiązki, niewymagające żadnej specyalnej wprawy lub umiejętności, według otrzymanych z góry poleceń. Po tym okresie przygotowawczym wybiera sobie pewne zajęcie zawodowe: umysłowe lub fizyczne, stosownie do upodobania, przebiega dłuższy lub krótszy czas nauki, posuwając się w hierarchii, wreszcie w 45 roku staje się wysłużonym obywatelem, któremu Naród winien utrzymanie do końca życia. Kobiety tworzą podobną armię, zajętą przy pracach lżejszych i z odpowiedniemi przestankami dla spełnienia czynności macierzyńskich. Zarobek każdego obywatela, bez względu na płeć i zajęcie, jest jednaki i trwa dziennie tę samą liczbę godzin idealnych. Pod czasem zaś idealnym jest rozumiana ta sama ilość wysiłków; w ten sposób idealna godzina w jednym zawodzie może równać się dwu istotnym, w innym znowu, nader odrażającym, wynosi ogółem jakieś minut 10. Zresztą dzień roboczy w różnych gałęziach, nawet przy niezmiennych warunkach technicznych, ulega pewnemu wahaniu, odpowiednio do natłoku kandydatów. Jeśli chętnych jest więcej, niż potrzeba, znaczy to, że warunki pracowania w odnośnej gałęzi są względnie przyjemniejsze, aniżeli w innych; wtedy godzina idealna wyraża się w większej liczbie zwykłych jednostek czasu; w razie znowu niedoboru uskutecznia się stosowną zniżkę z godziny do kilku minut. Wysłużeni szeregowcy, kalecy, którym jednakże wyznaczono odpowiednią do stanu ich robotę, otrzymują również dochód jednaki z innymi obywatelami. Armia pracy, będąca jednocześnie organizacyą obejmującą wszystkie czynności ekonomiczne, posiada hierarchię ze stopni niższych i wyższych. Rozpada się przedewszystkiem na kilka „zawodów,“ złożonych z pokrewnych sobie zajęć i urządzonych mniej więcej jednako. Dla uzmysłowienia organizacyi autor używa wzorów, zaczerpniętych z hierarchii wojskowej, lecz zasada powoływania osób na wyższe ponad szeregowca stanowisko jest nader złożona i jednocześnie demokratyczna. Potrzeba naprzód wysłużenia na odpowiednio niższym szczeblu stosownej liczby lat, wykazania (np. zapomocą egzaminu) odnośnych uzdolnień i wiadomości, wreszcie podobnie już opancerzony kandydat musi jeszcze wyjść z wyboru, dokonywanego przez mniej lub więcej liczne a znające się na rzeczy koła. Po za Narodem amerykańskim istnieje jeszcze kilka podobnych społeczeństw, wzajemnie wymieniających swoje produkty według tej samej zasady, według której obywatel bierze przedmioty w magazynie. Przy końcu roku rada ogólno związkowa, stojąca nad tą rzeszą, sprowadza wzajemne bilanse i robi rachunki.

Jest to jedynie najsuchszy szkielet powieści, której wątek snuje się żywo i pociągająco wśród wzajemnej wymiany usług pomiędzy ludźmi XXI wieku, obrazów ich życia codziennego z obiadami, pracą literacką i wogóle umysłową, rozrywek artystycznych, podróży do obcych krajów. Naturalnie wszystkie te sytuacye mają jedno na celu: poznajomienie czytelnika z ułożeniem wzajemności ekonomicznej różnych działań i zajęć. Na tym podkładzie materyalnym autor kreśli objawy duchowe, które pomijamy, chociaż utopia Bellamy dałaby nam materyał do wielu uwag krytycznych. Natomiast zatrzymamy się nad wpływem, jaki wywarł ten utwór powieściowy na ogół czytelników. Oddziałał on podobnie silnie,

---

też aby ktoś pośpieszał do pomocy i usługi kupującym.

— Żadnego jeszcze nie potrzebuję — odparła Edyta. Wszak nic jeszcze nie wybrałam.

— Kiedyś pierwszą powinnością subjektów było udzielanie kundmanom wskazówek przy wyborze.

— Doprawdy? Czyżby oni dopiero mieli komuś mówić, co mu potrzeba?

— Na to wyglądało. I często pozwalano siebie tak dalece wodzić za nos, że nabywano rzecz zbyteczną.

— I wasze damy nie wstydziły się tego! A cóż zależało sklepowym na tem, czy kupiono lub też nie?

— Wszak to było ich obowiązkiem. Otrzymywali przecież pensyę za to, aby wtykali komuś towary. Każdy środek był tutaj dozwolony, naturalnie z wyjątkiem pięści.

— Ach, jak to niedorzecznie z mojej strony, żem zapomniała, iż sprzedaż była rzemiosłem, które znajdowało się w ręku kupców i sklepowych. Dzisiaj inaczej. Towary należą do Narodu, próbki zaś są tutaj wystawione dla tych, którzy czegoś potrzebują. Sklepowi jedynie usługują publiczności i zapisują obstalunki. Ale ani Naród, ani też sklepowi nie mają najmniejszego interesu, aby wetknięto komuś chociażby łokieć lub funt czegoś niepotrzebnego. Wasz subjekt, kiedy usiłował komuś wpakować coś zbytecznego do ręki, musiał wyglądać komicznie.

— A jednakże i w wieku XXI przydałby się sklepowy. Mógłby pomódz w wyborze materyału, lubo nie potrzebowałby skłaniać do kupna.

— To nie jego rzecz. Te drukowane kartki, za które zarząd odpowiada, udzielają wszelkich możliwych wskazówek.

Edyta pokazała mi przyczepione do każdej próbki karteczki. Zawierały one w kilku słowach niezbędne wiadomości co do materyi, wyrobu, ceny i gatunku.

— Sklepowy może nie posiadać najmniejszej znajomości towarów — dodała Edyta. Od niego żądamy jedynie uprzejmości oraz dokładności w przyjęciu zamówień.

— Ileż to kłamstw usuwa to tak proste urządzenie! — zawołałem.

— Czyż byś pan chciał przez to powiedzieć, że wszyscy wasi subjekci kładli na towar ceny wyższe, niż należało? — zwróciła się do mnie z pytaniem Edyta.

— Nie, jestem daleki od tego. Naturalnie, wielu postępowało sumiennie i ci właśnie zasługiwali na szczególne zaufanie ze strony kundmanów. Ale pokusa do oszustwa była ogromną; wszak własne utrzymanie wraz z dobrobytem dzieci i żony zależało od ilości wyprzedanych towarów. Zdaje się jednak, miss Leete, że swoją rozmową przeszkadzam w wyborze?

— Bynajmniej. Zrobiłam go już.

Nacisnęła guzik w murze. Ukazał się sklepowy, zapisał obstalunek na tabliczce, dał jedną kopię muślinu Edycie, drugą zaś włożył w szczególną niewielkich rozmiarów kopertę i rzucił do walca transmisyjnego, cenę zaś wyznaczył na podanym mu bonie.

— Próbkę obstalunku — tłomaczyła mi Edyta odchodząc od stolika kantorowego— otrzymuje kupujący, aby można było uniknąć pomyłki i w razie potrzeby usunąć ją.

— Załatwiłaś się jednak pani bardzo prędko. Czy jesteś przekonana, że w jakimś innym składzie nie można byłoby znaleźć czegoś lepszego? A może wolno pani kupować tylko w własnej dzielnicy?

— Wcale nie! Kupujemy, gdzie nam się spodoba, zwykle w najbliższym składzie. Zresztą nic a nic nie zyskałabym na pójściu do innego. Próbki wszędzie są te same; mamy tutaj wszystkie możliwe przedmioty, wyrabiane w Stanach Zjednoczonych lub wwożone. Wobec tego można niezwłocznie zdecydować się bez zachodzenia do dwóch różnych składów.

— A zatem w składzie znajdują się jedynie próbki? Nie zauważyłem, aby sklepowy mierzył towar lub adresował pakunki.

— Istotnie, nasze sklepy zawierają tylko próbki z wyjątkiem kilku nielicznych przedmiotów. Same towary znajdują się w olbrzymim miejskim składzie centralnym, dokąd są wysyłane wprost z miejsc produkcji. Zamówienia są równie tam odsyłane i stamtąd uskuteczniane.

— Ileż to aż do nieprawdopodobieństwa zaoszczędzono czynności pośredniczących!

jak niegdyś *Postęp i nędza* Georgea. Według danych, przytoczonych przez Laveleye'a, w Ameryce rozeszło się 240, w Anglii zaś 40 tysięcy egzemplarzy; nadto książkę już przetłomaczono na język niemiecki (p. t. *Alles verstaatlicht*) i podobno francuski. W związku amerykańskim powstała t. zw. *Nationalist League*, szerząca idee wypowiedziane przez Bellamy'ego. Wiosną zeszłego roku posiadała ona już do 80 klubów rozproszonych w różnych miastach i zaczęła wydawać własny organ *Nationalist*, przeprowadzający właśnie zasady unarodowienia gruntów, zakładów i handlu t. j. zamienienia całego kraju w jeden olbrzymi „syndykat narodowy.“ Liga potępia współzawodnictwo przemysłowe, jako dalszy wyjaw nieokrzesanej i dzikiej walki o byt, szerzy przekonanie, że z walki tej wychodzą zwycięzko tylko jednostki i przeciwstawia temu wzajemną solidarność, jako jedyną zasadę, z której może wypłynąć ogólny dobrobyt. Ruch ten przyjmuje szerokie rozmiary, o czem zresztą świadczy nietylko liczba sprzedanych egzemplarzy, lecz też i obfitość krytyk. W Ameryce zabrał głos Gilman, jeden z najwybitniejszych rzeczników prądu udziałowego i naturalnie wystąpił ostro, prorokując, że i za 75 wieków ludzkość nie dojdzie do utopii przedstawionej przez Bellamy'ego. W Europie z obroną indywidualizmu ekonomicznego pospieszył Laveleye. Ukazały się i inne krytyki — z tegoż samego obozu, usiłujące wykazać, że społeczność została zatopiona w organizacyi koszarowej; powołują się one na nadaną organizacyi pracy nazwę armii, władzom zaś — oficerów, generałów itd., puszczając rozumie się w niepamięć sposób wprowadzenia osób na te stanowiska i samą ustawę demokratyczną rzeszy pracującej. Inni znowu gotowi porównywać rozpatrywany utwór z utopiami Morusa, np. Janżuł, który napisał nader słabą rzecz o Bellamym w *Wiestniku Jewropy*, Campanelli i in., jako nowe wino w starym worze. Jest to pogląd nawskróś mylny. Weźmy chociażby Rodbertusa, Gronlunda, a wszędzie spotykamy się z tem samem, co u Bellamy'ego ukształtowaniem przyszłości. Dowodzi to, że mamy tutaj do czynienia nie z dowolnem marzeniem, lecz z głębszą syntezą pierwiastków teraźniejszości. Gronlund stawia zupełnie świadomie pytanie na gruncie naukowym. Ze zbadania żywiołów rozwojowych obecności usiłuje on wynaleźć ustrój, spoczywający w dzisiejszem społeczeństwie i wykluwający się żywiołowo z pośród ewolucyi społecznej, a który zaspokoiłby wszystkie humanitarne wymagania wieku, jeśliby świadomość ludzka w odpowiedni sposób wpłynęła na odbywający się poród. Istotnie, jeśli wyrzucić z obrazów Gronlunda lub Bellamy'ego wszystkie szczegóły codzienne, pozostały szkielet jest jedynie ujęciem wymagań prawno-politycznych, stawianych przez nowoczesne środki produkcyi, w formę demokratyczną. Dość przyjrzeć się, jak ów powieściopisarz kreśli spełnienie się swego marzenia. „Rozrastający się bezustannie monopol pochłaniał drobną produkcyę. W Stanach Zjednoczonych w ostatniej ćwierci XIX w. nie było już prawie miejsca w przemyśle dla osobistej przedsiębiorczości, niezaopatrzonej w wielki kapitał; w ostatniem zaś dziesięcioleciu pozostałe jeszcze drobne zakłady uchodziły albo za zgniłe szczątki przeszłości lub też wegetowały w małoznaczących dziedzinach, które nie przedstawiały żadnego powabu dla wielkiego kapitału. Koleje żelazne zlały się, w przemyśle panował stan podobny. Związki przedsiębiorców ustanawiały ceny, uniemożliwiające konkurencyę, jeśli współzawodnik nie był jeszcze potężniejszym kapitalistą. Bazary olbrzymie w miastach zrujnowały rywalów i handel z całej dzielnicy został złączony pod tym samym dachem. To, iż rozpaczliwy opór ludu przeciw zcśrodkowaniu handlu i przemysłu w niewielu rękach został bez skutku, dowodzi, że ta sprawa była uprawnioną ekonomicznie. Drobny kapitał ustąpił przed bankami i stowarzyszeniami akcyjnemi, ponieważ nie dorósł do epoki pary i telegrafu. Przywrócić dawny porządek rzeczy, gdyby coś podobnego było możliwem, znaczyłoby tylko cofnąć się do dni dyliżansu. Jakkolwiek wszechwładza kapitału była ciężka, same ofiary przyznawały ogromny wzrost wydajności dzięki oszczędnościom, wynikającym z centralizacyi, wraz z rozkwitem bogactwa narodowego. Powrót do dawnych czasów sprowadziłby większą równość materyalną i mniejszą zależność ekonomiczną, lecz jednocześnie też ogólne zubożenie i powstrzymanie postępu. Zadano sobie pytanie: Czyż niema środka, aby zachować potężną zasadę centralizacyi i ześrodkowania po usunięciu plutokracyi, i dano na nie natychmiastową odpowiedź. W całym rozwoju koncentracyi kapitałów i powstaniu monopolów spostrzeżono sprawę, która otwiera ludzkości widoki złotej ery. Proces ten zakończył się ogólno-narodowem skupieniem majątków. Naród ukształtował się jako jedno towarzystwo handlowe i wchłonął wszystkie inne, stał się jedynym kapitalistą, jedynym przedsiębiorcą, w zyskach którego każdy obywatel uczestniczył. Przemiana odbyła się bez gwałtu. Opinia publiczna była przygotowana. Zasada: „im większy jest zakład, tem prościej działa,“ stała się pewnikiem.“ Ustęp ten wykazuje, że Bellamy porzuca drogę utopij i przyszłość chce zrozumieć z pierwiastków rozwojowych teraźniejszości. Może się on mylić w swojej syntezie, lecz zajął stanowisko nieznane Morusom i innym dawnym marzycielom. Naturalnie mówiąc to, mamy na myśli jedynie ogólny zarys, lecz nie szczegóły. W artykule też szło nam o skreślenie ruchu, nie zaś o krytykę tych lub owych poglądów Bellamy'ego. Dziełem swojem wywarł on silne wrażenie, co dowodzi, że wyrzekł słowo w stosownym czasie. Lecz sam wytworzony przezeń prąd, mimo swojej szerokości, nie jest zbyt poważnej natury. W tym razie autor wkracza, zdaje się, na drogę utopistów— nawracania rzeszy ludzkiej bez względu na dążności życiowe i klasowe, i odwoływania się nie do interesu, ale do uczucia i entuzyazmu; porzuca zatem widnokręgi dnia dzisiejszego i jego zagadnienia, stawia jedynie przyszłość, łapiąc na tę wędkę tylko „wrażliwą“ (tj. newropatyczną) inteligencyę. Ruch przybiera szaty sekciarskie. Zamiast analizy teraźniejszości, widzimy tylko obrazy przyszłości! W każdym razie uważamy za stosowne dla poznajomienia czytelników z samą książką przytoczyć kilka ustępów w tłomaczeniu.

K. R. Żywicki.

ANTISEMITYZM WE FRANCYI.

Paryż, 16 maja

I.

Dopóki pod sztandar antisemityzmu zaciągali się szlachecko-klerykalni lokaje i płatni pachołkowie dziennikarscy, kierunek ten był u nas tyleż naturalny, co i w Niemczech. Ale z chwilą, gdy rycerza-

---

W naszym ustroju wytwórca sprzedawał hurtownikowi, hurtownik — drobniejszym kramikarzom, ci zaś dopiero — spożywcom. Tymczasem wy uniknęliście tej krętej drożyny dzięki wyrzuceniu pośredników wraz z pobieranymi olbrzymimi zyskami i całą armią pomocników. Wasz skład jest jakby kantorem wielkiej firmy z nieznaczną liczbą osób dla przyjmowania zamówień. Oszczędności muszą być ogromne.

— Sądzę, że tak — odparła Edyta; zresztą nigdyśmy nie zaznali innych porządków. Ale, panie West, musisz poprosić ojca, aby on pana zaprowadził do składu centralnego, gdzie odbywa się przyjęcie zamówień ze składów próbkowych i ekspedycya pakunków. Wziął mnie on tam kiedyś z sobą. Cudowny i odurzający był to obraz! Wszystkie kółka tej maszyny biegną z zadziwiającą dokładnością i pewnością siebie. Przypuśćmy, że oto nad nami w gmachu, w sali nieco podobnej do klatki, siedzi ekspedytor. Otrzymuje on zamówienia, dokonane w różnych oddziałach, zapomocą walców transmisyjnych. Pomocnicy sortują je i stosownie do przedmiotu zawijają w odpowiednie opaski kopertowe. Obok ekspedytora znajduje się do tuzina rur pneumatycznych — mniej więcej tyle, ile w pobliżu oddziałów różnotowarowych, i każda jest połączona z odpowiednim działem składu centralnego. Rzuca on koperty do stosownej rury i w kilka minut spadają one na określony stół w głównym składzie. Zamówienie zostaje zapisane do ksiąg i niebawem spełnione. Zwłaszcza zasługuje na uwagę sposób wykonania. Olbrzymie sztuki tkanin są np. namotane na pewnego rodzaju wrzeciono, obracane przez stosownie urządzoną maszyneryę. Inna maszyna, prowadzona przez werkmajstra, odcina kawałek po kawałku, póki cała sztuka nie wyjdzie. Pakunki zostają wysłane innemi rurami do oddzielnych części miasta i stamtąd w dalszym ciągu dostarczane do domów. Aby dać panu pojęcie o prędkości, powiem tylko, że mój obstalunek tą drogą znajdzie się rychlej w domu, aniżeli gdybym osobiście go zabrała.

— Jednakże jak to wszystko dokonywa się w mało zaludnionych okręgach wiejskich? — zadałem dalsze pytanie.

— System pozostaje bez zmiany. Składy próbkowe wiejskie są połączone zapomocą transmisyj z centralnym składem obwodowym, znajdującym się najwyżej w 20 milowej odległości. Wynikające z tego opóźnienie jest bardzo małe. Dla oszczędności kilka okolic wiejskich jest w związku ze składem centralnym zapomocą tej samej sieci rur. Zdarza się też, że na zaspokojenie obstalunku wypadnie poczekać dwie i trzy nawet godziny. Naturalnie, jest to rzecz niemiła, jak z własnego doświadczenia przekonałam się zeszłego lata.

— Prawdopodobnie składy prowincyonalne stoją gorzej od miejskich i pod innymi względami?

— Bynajmniej. Są one podobnie urządzone. Skład próbkowy w najmniejszej osadzie dostarcza wyboru wszystkich produktów krajowych. Przecież wszystko pochodzi z tego samego źródła!

Z powrotem uczyniłem kilka uwag, jak pogodzić rozmaitą wielkość i urządzenie domów z ogólną równością dochodów?

— Wydatki nasze zależą od upodobań osobistych. Ktoś lubi piękne konie, inny, jak ja, ładne suknie, jeszcze ktoś inny — stół wyszukany. Komorne, uiszczane Narodowi, zależy od wielkości, umeblowania i położenia domu. Każdy może wyszukać co mu lepiej przypadnie do smaku. Większe domy są zwykle zamieszkane przez liczne rodziny, których członkowie składają się na komorne; nieliczne, jak nasza, poprzestają na mniejszej przestrzeni. Jest to rzecz gustu. Czytałam, że niegdyś, z próżności, prowadzono dom na większą skalę, niż dochody pozwalały, i to w zamiarze, aby posądzano o większą, niż istotna, zamożność. Czyż to prawda?

— Niestety, najzupełniejsza.

— Dzisiaj jest to już niemożliwe. Dochody każdego są znane, a jeśli ktoś wydał zawiele na jedno, winien odmówić sobie w czem innem.

mi judofobstwa stają się ludzie przekonań i to przekonań wrzekomo demokratycznych, wylegitymowanie się z tego niewątpliwie wstecznego prądu staje się nadzwyczaj trudnem. Z konieczności trzeba się starać odziać go w szaty antikapitalistyczne, a zarazem szukać sojuszników w demokracyi europejskiej. Szczęściem wszelkie tego rodzaju dowody opierają się dotychczas albo na niedokładnej znajomości stosunków zagranicznych, albo też na złej woli i nieuctwie. Żadna partya demokratyczna w Europie nie starała się nigdy podsunąć na miejsce walki klas, którą wyznają i proponują, walki ras, należącej do jednej z wielu pozostałości ciemnoty. Demokracya niemiecka nigdy się nie skalała podszczuwaniem ludzi do nienawiści plemiennej, a jej teorye i taktyka stanowią dotychczas wzór dla partyj robotniczych pozostałej Europy. To też jeżeli gdziekolwiek antisemityzm występuje nie we właściwem szlachecko-klerykalnem oświetleniu, to możemy być naprzód przekonani, iż mamy do czynienia z zakapturzoną reakcyą, strojącą się w kradzione piórka. Ponieważ u nas „radykalny“ antisemityzm powołuje się na analogiczny ruch we Francyi i w ten sposób stara się udowodnić swą prawowitość, zobaczymy więc, jakiemi są pochodzenie i istota tego słynnego pierwowzoru.

Głównym przedstawicielem, a poniekąd i twórcą antisemityzmu francuskiego jest p. E. Drumont. Jako namiętny i zapalony katolik i royalista, jest on nieubłaganym wrogiem współczesnego porządku społecznego i wogóle wszystkiego, co wyszło z wielkiej Rewolucyi. Ta ostatnia jest dziełem szatana, „albowiem zniszczyła przez Boga ustanowiony ustrój.“ To też p. Drumont bynajmniej się nie kryje z myślą, iż chciałby odbudowania gmachu społecznego, który w r. 1789 zburzonym został *). Wielka Rewolucya odbyła się, proszę was, na koszt porządnych ludzi, arystokracyi i kleru, a zbogaciła łotrów, mieszczaństwo i niedowiarków. Powrót do starych, dobrych czasów — oto jedyne zbawienie.

Czytając namiętne pochwały, jakiemi niektórzy demokraci obsypują Drumonta, możnaby pomyśleć, że ten chce przynajmniej zrównania majątków, zniesienia stanów. Tymczasem p. D. gorąco się zastrzega przeciw czemuś podobnemu, szczególniej zaś przeciw przypisywanej mu myśli, iż atakuje „la proprieté“ (własność). „Przeciwnie — mówi on — proletaryusze, wzięci w masie, nie chcą jej zgładzić, ani też nie są zazdrosni; godzą się chętnie na milionerów“ **) — ale, rozumie się, na milionerów dobrze urodzonych, wiernych tronowi i chodzących do kościoła. Zbogacona arystokracya, wraz z klerem i królem, który troszczyć się będzie o to, by każdy pracujący miał w niedzielę kurę na rosół, wskrzeszą średniowieczny raj ziemski, jaki istniał za czasów Ludwika świętego we Francyi. Nic szczytniejszego nad ten ideał p. Drumont wyobrazić sobie nie może. Wszystko, co od tego rojalistyczno-szlachecko-klerykalnego ideału się oddala, jest dlań przedmiotem najgłębszej nienawiści. To też pamflety jego skierowane są przeciw wszystkim zdobyczom nowoczesnej wolnej myśli, głównie zaś przeciw współczesnemu ustrojowi społecznemu we Francyi, który chciałby zgładzić za wszelką cenę. Ponieważ zaś socyaliści dali dotychczas najgłębszą krytykę tego ustroju, więc nic dziwnego, że p. D., niegardzący żadnym orężem, przeszwarcował ją do swego obozu, dla obrony okopów „Św. Trójcy.“ Ba, p. Drumont nie szczędzi komplementów pod adresem socyalistów, a głównie anarchistów francuskich, w nadziei, iż burzycielska ich robota przyda się rojalistom dla wprowadzenia w czyn ich ideałów. Rozumie się, socyaliści francuscy nie są winni temu, iż broń, którą wykuli, wpadła do rąk reakcyi i w danym razie mogą oni śmiało powiedzieć: „uchroń nas, Boże, od przyjaciół naszych, gdyż od nieprzyjaciół sami uchronić się zdołamy.“ Jeżeli więc wszystkie trzy odłamy socyalistów francuskich — gedyści, blankiści i possybiliści — zawsze były wrogo usposobione względem ogólnych teoryj p. Drumonta, to cóż dopiero mamy powiedzieć o poglądach ich na jego antisemityzm, opierający się na najwsteczniejszych i najbezmyślniejszych zasadach?

Drumont, jako fanatyczny katolik, nienawidzi żydów naprzód dla powodów czysto religijnych. Rasa żydowska, zdaniem jego, „ugina się jeszcze pod przekleństwem,“ zawartem w legendzie ewangielicznej, za to, iż „zamordowali Syna bożego.“ Nic nie zdoła zdjąć z niej srogiej zemsty, jaka ją prześladuje. Zdaniem p. Drumonta „żydzi galicyjscy, zbierając się dla mordów rytualnych, spoglądają na siebie z radością, podczas gdy z otwartej rany ofiary leje się krew czysta i czerwona („pur et vermeil“ — fantazya godna Torquemady!), krew chrześciańska, przeznaczona na słodki chleb *Purymu*“ (!) (str. XV Introd. *La fin d'un monde*). Czyż to nie przypomina wam błogich czasów Inkwizycyi świętej, o której *nb.* p. D. odzywa się z wielkim szacunkiem? Nie mamy potrzeby bronić demokracyi francuskiej od zarzutu, iż się łączy z tak ohydną i bezmyślną ciemnotą. Ale p. D. dla wzbudzenia krucyaty przeciw żydom przytacza inne jeszcze względy. Powołuje się mianowicie na nienawiść wrodzoną, jaka istnieje między aryjczykami i semitami, na wyższość cywilizacyi aryjskiej i na wyzysk, jakiemu ta ostatnia ze strony żydów podlega. Ponieważ nasi „radykalni“ antisemici w swej rzekomej naukowości powołują się także na odrębność ras i przytoczyli nawet klasyczny pod tym względem artykuł niejakiego p. Picarda, o którym, przyznam się, po raz pierwszy słyszę i jako o uczonym i jako o działaczu społecznym, więc pozwolę sobie przytoczyć tu zdania dwu istotnych przedstawicieli demokracyi europejskiej, znanych i w nauce i w walce społecznej. Kautsky mówi w tej kwestyi: „Jak mało narodowość opiera się na pochodzeniu, widocznem jest choćby z tego, że w skład jednego narodu mogą wchodzić nietylko różne narody, ale nawet różne rasy. Naród węgierski składa się z „aryów,“ „semitów“ i mongołów. Napozór tak wybitnie określona narodowość żydowska zawiera w sobie różne typy: znajdujemy w niej nawet krew murzyńską. Kto nie zauważył po murzyńsku kręcących się włosów u wielu żydów? Notabene „semici“ nie są ani określonym narodem, ani określoną rasą, ale wymysłem filologów, nazwą gatunkową, która nadaną została wszystkim ludom, których język zaliczono do grupy, nazwanej przez Eichhorna semicką, to jest posiadającą pewne, charakteryzujące ją cechy. Obok tego jednakże języki te używane są przez ludy najróżniejszego pochodzenia i nikt nie może dziś powiedzieć z pewnością, jakie ludy oraz w jakim stopniu należą do pnia, któremu nadano nazwę semickiego. Również pochodzenie żydów nie zostało dotychczas bynajmniej wyjaśnionem“ *).

Z drugiej strony prof. Leon Metchnikoff w epokowem iście dziele: *La civilisation et les grands fleuves historiques* (Paryż, 1889), poddaje ścisłej krytyce przestarzałą naukę o rasach i po mistrzowsku wykazuje całą jej powierzchowność i nieokreśloność. Zdaniem autora, wszystkie wielkie cywilizacye były owocem nader złożonej mieszaniny czynników etnicznych, mieszaniny, w której niepodobna określić nawet przybliżonego stosunku części składowych. Trudno np. powiedzieć, jaka rasa, czarna, żółta, czy też biała najbardziej się przyczyniła do rozwoju cywilizacyi starożytnego Egiptu. Historya Chaldei okazuje nawet, iż pod względem cywilizacyi rasa czarna wyprzedziła wszelkie inne. Czarnoskórzy uczeni ówczesni mogliby więc z pogardą spoglądać na plemiona białe i żółte, pogrążone w ciemnocie i barbarzyństwie i uważać swą rasę za najpodatniejszą do postępu. Obecnie biała wyprzedziła wszelkie inne; nic dziwnego, iż uważa się za najdoskonalszą. Wszak jeszcze Sokrates zauważył, że gdyby osły miały pojęcie o bóstwie, wyobrażałyby je sobie w postaci osła. Jeżeli zaś przypuścimy, jak tego chce p. Picard i nasi „radykalni“ antisemici, że aryjczycy stoją wyżej od semitów, to możemy zapytać wraz z prof. Metchnikowem: „czemu tak pokrewne między sobą grupy etniczne, jak kurdowie i niemcy, anglicy i afgańczycy, zarówno należące do gałęzi aryjskiej rasy białej, odgrywały w historyi tak różne role?“ (str. 98).

Nareszcie Topinard, antropolog o sławie europejskiej, twierdzi, iż ze względu na mieszanie i krzyżowanie się różnych plemion mowy być nie może już obecnie o czemś realnem, odpowiadającem wyrazowi „rasa,“ dlatego też „gdy mówimy o indo-germańskiej, łacińskiej, niemieckiej, słowiańskiej, to wyraz *rasa* może mieć znaczenie tylko nazwy politycznej, oznacza przypadkowo jedynie skupienie rozmaitych elementów antropologicznych.“

Z powyższego widzimy, iż o wyzyskiwaniu jednej „rasy“ przez drugą mogą mówić tylko nieucy, nierozumiejący iż „rasa“ jest to pusty dźwięk, niemający realnego znaczenia, albo też szalbierze polityczni w rodzaju p. Drumonta, którzy religijne swe antypatye chcą przykryć lada jakim, bardziej współczesnym i pokupnym płaszczykiem. A jednak wyzysk istnieje. Bezwątpienia, ale wywołany on nie jest przez przyrodzone właściwości pewnych ras, lecz przez warunki ekonomiczne, które rozbiły społeczeństwo ludzkie na dwie klasy: posiadających i pracujących. Stawiać sobie pytanie, w jakim stopniu do każdej z tych klas należą aryjczycy lub semici, mogą tylko ludzie ciemni, nieświadomi tego, co czynią, albo też szalbierze świadomi swego oszustwa.

Demokracya europejska śmiało może się szczycić tem, iż teorye jej są ostatnim wyrazem nauki społecznej, to też nie przypisuje ona żadnej wagi różnicom rasowym, a przyznaje istnienie jedynie różnic klasowych i energicznie dąży do ich zgładzenia. Przyjmuje ona do swych szeregów wszelkich ludzi, bez względu na formę nosa, kolor skóry lub włosów, język i religię, walczy przeciw klasie kapitalistycznej bez względu na to, czy jest ona żydowską, katolicką, semicką czy aryjską, białą czy czarną. Swe ideały ogólno-ludzkie opiera ona na danych czysto naukowych i dlatego wszelkie wzbudzanie nienawiści „rasowej“ uważa za objaw wsteczności i ciemnoty.

Wszystko to odnosi się w zupełności i do demokracyi francuskiej i napewno nasi „radykalni“ antisemici nie wskażą żadnego wydawnictwa gedystów, blankistów lub possybilistów, w któremby podnoszoną była waśń „rasowa,“ w któremby się starano utożsamiać antisemityzm z anti-kapitalizmem. Wprawdzie powołują się pod tym względem niektórzy na *Égalité* — ale zobaczmy, czem jest ta gazetka? Gedyści i blankiści pozostali w przeszłym roku, po zwinięciu pisma *L'homme libre*, bez organu. Korzystając z tej okoliczności niejaki p. Jules Rocques, w nadziei, iż zrobi dobry interes, zwrócił się do nich, ofiarując potrzebne fundusze dla założenia pisma. Propozycyę przyjęto i *Égalité* zaczęła wychodzić pod redakcyą Guesde'a, Vaillant'a, Lafargue'a, Deville'a i Place'a. W dwa tygodnie wszakże potem redakcya, przekonawszy się, iż

*) „Ce que je demande — mówi on w ostatnim swym pamflecie — c'est une revision de la revolution... La liquidation, qui a eu lieu en 1789 s'est fait aux depens des honnêtes gens et au profit des coquins, des parasites et des exploiteurs étrangers. Faisons la liquidation de 1789.“

**) *La fin d'un monde*, str. 230—231.

*) *Narodowość współczesna.*

p. Rocques ma na celu jedynie zyski materyalne i że bezwstydnie wyzyskuje robotników-drukarzy, zniżając cenę niżej taksy, ustanowionej przez syndykat, wystąpiła *in gremio*, ogłaszając publicznie powody tego kroku i od tego czasu żaden przedstawiciel socyalizmu francuskiego ani słówka w piśmie tem nie umieścił. Redakcyę objął sam p. Rocques i wydaje obecnie to obskurne, przez nikogo nieczytane pisemko, jednocześnie z *Le Courrier Français*, organem przeznaczonym specyalnie dla paryskich kokotek — jest to poniekąd ich organ urzędowy.

Co się tyczy *Égalité* to nie przedstawia ono żadnej frakcyi demokratycznej francuskiej i w ostatnich czasach stało się schroniskiem kilku nieznanych zupełnie indywiduów, wychowanych na pamfletach Drummonta — jedynym znanym jest p. Szczerbań, drukujący tu ohydne swe, oszczercze romanse. Dla kompletu brak tu jeszcze tylko p. Laura, jednego z najwstrętniejszych pachołków bulanżyzmu, o którym dotychczas wiadomo tylko to jedno, iż dobrze śpiewa piosenkę „La noble France et la vailante Russie."

Krótko mówiąc, w obozie demokratycznym antisemityzm francuski niema żadnych zwolenników, a o charakterze „Ligi antisemickiej" możemy najlepiej sądzić z jej założyciela, p. Drumonta. O jej środkach, celach i zadaniach pomówimy jeszcze innym razem; obecnie zaś musimy dla honoru ludności paryskiej nadmienić, iż w ostatnich wyborach municypalnych z pomiędzy kilku kandydatów antisemityoznych żaden nie przeszedł. Na bruku pozostał też i sam p. Drumont!

Kończąc dodajmy, iż niedawno zjawiła się tu książka, której poglądy pod wielu względami przypominają naszych „radykalnych" antisemitów. Autor uważa semityzm za zupełnie identyczny z kapitalizmem, a ponieważ ten ostatni wytworzył kwestyę socyalną, więc mocno żałuje, iż Faraonowi nie udało się wytępić wszystkich chłopców żydowskich. Gdyby wspaniały ten plan był się udał, „to krokodyle z Nilu dawno już rozstrzygnęłyby i kwestyę kapitalizmu i towarzyszącą mu kwestyę socyalną." Powiedzcie, czy to zdanie nie mogłoby śmiało figurować w niektórych „radykalnych" gazetach? Ponieważ wszakże jest to błąd nie do poprawienia, więc dla rozstrzygnięcia kwestyi socyalnej, trzebaby wytępić wszystkich żydów, którzy *nb.* zdaniem autora wymyślili dyabelską trójcę „swobody, równości i braterstwa" w celu łatwiejszego obdzierania rasy aryjskiej, dlatego trzebaby jednocześnie powrócić do stosunków z przed r. 1789 t. j. wprowadzić pańszczyznę itp. Zanim wszakże to uskutecznionem zostanie, autor zaleca wprowadzenie średniowiecznego *ghetto* i żółtego ubioru dla żydów, chrześcianom zaś każe codziennie rano i wieczorem powtarzać niniejszą modlitwę: „Panie Boże uwolnij nas od żydów. Amen!" Rekomendujemy naszym „radykalnym" antisemitom!

Leon Winiarski.

LISTY PETERSBURSKIE.

20 maja.

Teatry. — Lilipuci. — Przekonania karne p. Spasowicza i p. Łatyszewa.

Teatry cesarskie już się zamknęły. Lilipuci podobno są w Warszawie. Z obowiązku kronikarza, podczas ich bytności w Petersburgu, poszedłem raz spojrzeć na artyzm maluczkich i skończyło się na tem, że wstyd mi było przyznać się: wstyd — i żal zmarnowanego grosza. Nie wiedziałem, że owe maryonetki zwiedzą Warszawę, ostrzegłbym wczas...

Teatr małoruski żywy, wesoły, rzewny, lecz zbyt jednotonny. Trochę bawi, trochę uczy etnologii, trochę zaznajamia z językiem bratnim, lecz szerszego znaczenia chyba nie ma. Żadnego głębszego dramatu!

Do oczekiwanego czwartego międzynarodowego kongresu karnego czynią się przygotowania. Komisya „penitencyarnego towarzystwa prawniczego" wydała książkę, gdzie między innemi pytaniami rozstrzygana jest kwestya, czy każdy przestępca może się poprawić, a jeśli nie, co należy czynić z niepoprawnymi? P. Wł. Spasowicz twierdzi, że przestępca niepoprawny jest to pojęcie nowe, które wyszło ze szkoły antropologów, które dzielą zbrodniarzy na trzy kategorye: *wypadkowych, wrodzonych* i grzeszących *z nałogu*. Klucza jednak do żadnego z tych działów nie posiadamy. Pewne np. zboczenia fizyologiczne nie wskazują, że osobnik powinien być występnym, jeno, że być nim może. Przestępca wypadkowy przy recydywach zbliża się do zbrodniarza z nałogu, ci ostatni przeto mają największe znaczenie w kwestyi karnej. Owoż niepodobna twierdzić, że któryś z nich jest niepoprawnym; można to do pewnego stopnia przypuszczać, lecz i w takim razie środków dla pozbycia się szkodliwego osobnika nie widzimy. Uśmiercić — nowsze przekonania nie pozwolą. Wygnanie jest rzeczą nieużyteczną, a nawet i niesłuszną, zwłaszcza bacząc na mieszkańców kraju, będących przymusową siedzibą zbrodniarzy. Zauważymy tutaj, że Syberya od wielu lat śle prośby, aby jej nie obarczano ludem występnym. Pozostaje tedy więzienie. Przy najostrzejszej formie zamknięcia — powiada p. Spasowicz — nie można się obejść bez pewnych ulg, przynajmniej dla tych, co w zupełności spełniają przepisy. Wogóle zaś więzienie nie zapobiega recydywie. Owóż powinniśmy odszukać takie warunki, ażeby nie wyrzucając przestępców ze społeczeństwa, odebrać im możność recydywy. Zadanie, jak widzimy, nader trudne.

P. Łatyszew twierdzi inaczej. Podług niego, pogląd antropologów nie zmienia postaci rzeczy; nie chodzi o przyczyny niepoprawności, jeno o zjawiska. Doktryny nowszej szkoły kryminalistów zbyt wiele wytworzyły mrzonek, skutkiem czego, występek krzewi się, recydywa wzrasta. Czy przestępca jest maniakiem patalogicznym, czy też oswoił się ze zbrodnią, która weszła w jego naturę — myśleć o poprawie jest rzeczą niebezpieczną, raczej trzeba szukać oznak, dających możność wyróżnienia takich przestępców z pomiędzy wypadkowych. Antropologia dotychczas błądzi omackiem, za to można czerpać pewne wskazówki z czynów winnego. Czy np. objawia skruchę, lub nie, czy wzdraga się na myśl występku, czy nie jest obojętnym na widok cudzych cierpień. Ważną, choć niezupełnie nieomylną wskazówką jest recydywa w krótkim przeciągu czasu. Niepoprawnych p. Łatyszew radzi wyrzucać ze społeczeństwa — nie zabijać jednak, lecz wyganiać na jakąś odludną wyspę. Państwa, które nie mają takich wysp, mogą zawierać odnośne umowy z temi, co je posiadają, juźci płacąc pewną kwotę za każdą głowę.

Roztrząsając te dwa charakterystyczne zdania widzimy, że p. Spasowicz przedewszystkiem troszczy się o jednostkę, p. Łatyszew zaś, mając na względzie spokój ogółu, mniej dba o nią. Pierwszy nie wątpi o poprawie zbrodniarzy nałogowych, byle mieli przyjazne ku temu warunki, drugi nie chce nawet pracować nad tem. Obaj jednak twierdzą zgodnie, że przestępców wypadkowych należy odróżniać z pomiędzy innych i że sposobów ku temu praktyka sądowa nie posiada. Owóż jeżeli omyli się p. S. — jednostka, zostając wśród społeczeństwa, łatwo da się odszukać; jeżeli się omyli p. Ł. — człowiek jest stracony na zawsze. O tem, że same warunki społeczne nieraz pchają ludzi do zbrodni, że zwyrodniały przestępca cierpi za winy pokoleń — nie mówimy, ażeby ludzie praktyczni nie wyrzucali nam marzycielstwa.

N. B.

BADANIA NAUKOWE.

NOWY SYSTEM FILOZOFII MORALNEJ.

Jerzy Giżycki należy do najwybitniejszych dziś autorów filozoficznych, piszących po niemiecku. Badania jego odnoszą się wyłącznie niemal do dziedziny etyki, a ostatnia praca jego *Moralphilosophie* (nakład lipskiej firmy W. Friedrich), zdaje się być dojrzałym wynikiem studyów i rozmyślań długoletnich. Wiadomo, że podczas gdy inne umiejętności filozoficzne w Niemczech rozwijały się samodzielnie w ciągu obecnego stulecia, etyka była pasierbicą filozofii idealistyczno-metafizycznej, a z nastaniem prądu materyalistycznego przyjęto w Niemczech angielską. To też Giżycki, stojąc na gruncie nowoczesnym, zrywa z etyką niemiecką i z całą stanowczością głosi utylitaryzm angielski. Wynika to z natury rzeczy, że dzieło jego zawiera pewne szeregi myśli, znane już dziś całej niemal publiczności wykształconej; lecz nie brak też nowych punktów widzenia, a cała praca działa równie pobudzająco, jak rozjaśniająco.

W uzasadnianiu utylitaryzmu trzyma się autor wywodu Humego, który pojęciu „dobra" odmawiał znaczenia bezwzględnego, przyznając jeno, że wyraża ono stosunek dwóch rzeczy. Dobrem jest dla człowieka to, co wywołuje w nim wrażenia przyjemne; rzecz jest tem lepszą, im więcej wywołuje wrażeń przyjemnych, a najwyższem dobrem to, co sprawia możliwie najwyższą ilość tych wrażeń, dobro ogółu.

Samodzielne badania opiera Giżycki na właściwej sobie metodzie logicznej: rozkłada on pojęcia, uważane dotychczas za jednolite, na dwie części składowe, lub wykazuje odrębność innych, które dotychczas uchodziły jako identyczne. W ten sposób dochodzi do odróżniania „etycznego kierunku wytycznego" od „celu etycznego." Dotychczas kierunek ów, a zatem dobro powszechne uważano za cel, do którego dąży człowiek moralny. Lecz skutek działania, powodzenie starań naszych nie zależy od nas, a większość ludzi moralnych celu tego osiągnąć nie może. Należy więc wyznaczyć go sobie w granicach możności człowieka działającego: celem tym jest świadomość, że się działa sprawiedliwie i dobrze; dobrem i sprawiedliwem jest działanie na korzyść ogółu. Stąd wywodzi Giżycki nakaz moralny: Dążcie do pokoju sumienia, poświęcając się dobru ludzkości.

Skłonność podporządkowywania się nakazowi moralnemu jest cnotą. Nie stanowi ona wyłącznie własności przyrodzonej, lecz po części dzieło wychowania i samowychowania. Do środków wychowawczych należy pochwała i nagana. Tu Giżycki snuje wywód o osądzaniu czynów i charakterów, ogłoszony już poprzednio w „Viertelsjahrschrift für wissenschaftliche Philosophie." Rozstrzygając, czy czyn jest sprawiedliwy, rozważać mamy zamiar, nie pobudki i oceniając charakter, uważać winniśmy na pobudki, nie na zamiar. Robotnik, który pragnąc wyświadczyć coś dobrego pracodawcy, zapala jego stodołę, wysoko zaasekurowaną, działa z pobudką wdzięczności, z zamiarem wyrządzenia szkody towarzystwu asekuracyjnemu. Czyn jest nieprawym, gdyż zamiar jest niemoralnym; charakter robotnika zaś jest prawym, gdyż pobudką czynu była wdzięczność.

Podstawą etyki umiejętnej jest zasada przyczynowości, zastosowana do dziedziny woli i czynów. Myśliciele, nieuznający istnienia tej zasady w sferze moralnej, wy-

tworzyli pojęcie wolności woli, tj. woli bez przyczyny. Mieszają oni pojęcie „konieczności“ z pojęciem „zniewolenia.“ Czyn może być koniecznym jako skutek szeregu warunków poprzedzających, a jednak człowiek nie jest zmuszonym do wykonania go. Przyczynowość nie wyklucza naturalnie wolności woli w tem rozumieniu: można, skoro się chce. Podobnież odpowiedzialność bynajmniej nie ustaje wskutek przyczynowości. Właśnie gdyby nie istniał związek przyczynowy, kara nie miałaby wartości, ani uzasadnienia; przeznaczeniem kary jest poprawa, a nie spełniałaby ona go, gdyby nie istniała przyczynowość.

Dzieło Giżyckiego nie jest kompedium naukowem, lecz podręcznikiem moralności praktycznej. Umieszcza on w niem przeto pewne szeregi myśli, którémi etyka umiejętna zajmować się nie zwykła. Oto co pisze o związku moralności z teologią: Gdyby istniała wyższa jakaś indywidualność, wydająca rozkazy, to ulegnie im wówczas tylko byłoby moralnem, gdyby one były sprawiedliwe; słuchanoby zatem rozkazów tych dlatego, że są sprawiedliwe, nie dlatego, że skądś wyszły. Sposób, w jaki teologia uzasadnia moralność, tj. myśl o nieśmiertelności osobistej, obawa kary pozagrobowej, mija się nietylko z doświadczeniem wszech czasów, lecz z powszechną dziś świadomością, że cnota powinna być zupełnie bezinteresowną.

W końcu zbija Giżycki metafizyczne uzasadnienie etyki i stosuje teoryę Darwinowską do życia moralnego. Przyroda nie zna celów, jakie przyjmowała teologia metafizyczna; lecz zna ona skutki. Czyny sprawiedliwe podnoszą życie ludzkości, niesprawiedliwe obniżają je; ta tylko społeczność zdolną będzie do życia, w której czyny sprawiedliwe przeważają nad niesprawiedliwemi.

N.

KONGRES DLA MEDYCYNY WEWNĘTRZNEJ.

Wiedeń, 15 maja.

Dziewiąty kongres lekarzów chorób wewnętrznych, zwołany do Wiednia na wniosek profesora Nothnagla, obradował pod jego przewodnictwem w wielkiej sali Akademii nauk. Przeszło 250 uczesników przybyło tutaj, w ich liczbie najwybitniejsze powagi naukowe. W przemowie inauguracyjnej przypomniał Nothnagel, że dzięki słynnemu Gerhardowi von Swieten Wiedeń pierwszy urządził klinikę chorób wewnętrznych, której kierownictwem zajmował się kolejno de Haen, Maksymilian Stoll, Piotr Frank, Walentyn Hildebrandt, Skoda, Oppolcer i Bamberger. Nie bez dumy zaznaczył, że Wiedeń jest niejako gruntem uświęconym dla kongresu medycyny wewnętrznej. Rozkwit jej w tem mieście tłomaczy się olbrzymim materyałem patologicznym, jakim rozporządzają kliniki.

Nader zajmującym był przegląd postępów i zadań medycyny od czasów najdawniejszych. Wprawdzie i Nothnagel nie jest wolnym od dumy i zaślepienia, wprawdzie i on z pogardą spogląda na naukę, metodę i zdobycze lekarzów starożytnych: to też słów jego nieuprzedzony historyk umiejętności ludzkiej nie przyjmie bez krytyki. Bądź co bądź jednak zajmującą jest rzeczą, jak ów rozwój przedstawia się umysłowi tak wybitnego lekarza współczesnego.

Według Nothnagla medycyna niczego dotychczas nie uczyniła dla przedłużenia życia ludzkiego; zadania tego nigdy też ona spełnić nie zdoła, gdyż długość życia osobników jest dziedziczną, wrodzoną; po upływie okresu danego, mimo najlepszych warunków życia, następuje śmierć. Atoli przez lat tysiące medycyna niczego nie zdziałała dla zachowania zdrowia ludzkiego; najważniejsze postępy profilaktyki przypadają na ostatnie lat dziesiątki. Sztuka kojenia bólów w drobnej tylko mierze znaną była medycynie dawnej. Dopiero chemia i badania doświadczalne dostarczyły środków uśmierzających cierpienia fizyczne. W sztuce leczenia chorych trzymano się, według Nothnagla przez dwa tysiące lat wyłącznie obserwacyi objawów wewnętrznych, nie wnikając w istotę procesu patologicznego, nie mając wyobrażenia o skutkach środków stosowanych. Nasuwa się tu uwaga, że lekarze starożytni, mniej obznajmieni z anatomią i fizyologią, w praktyce uważali jednak bardziej na to, że człowiek jest organizmem żywym, nie zaś maszyną, z której częściami dowolnie obchodzić się można, i że wyłączne leczenie organów chorych z zaniedbaniem całego ustroju a częstokroć z dojmującą dlań szkodą, jest właśnie cechą okresu specyalistów.

Nothnagel datuje wielką epokę medycyny dopiero od początku naszego stulecia, kiedy umiejętność ta przestała być opisową i przyswoiła sobie metody nauk ścisłych. Dopiero w fizyologii i w anatomii patologicznej, w fizyce i chemii, w historyi patologicznej i w doświadczeniach na żywych zwierzętach znalazła ona właściwe punkty oparcia. Obecnie terapia znajduje się w okresie wielkiego rozwoju, a trudno wyobrazić sobie, by badania kliniczne wykolejone zostały z drogi, na której postępują od lat dziesiątków. Metodyka kliniczna opiera się na ogólnej metodyce umiejętności nowoczesnych, uledz by więc mogła zmianie chyba wtedy, gdyby nowy jakiś umysł pierwszorzędny całej drodze myślenia i badania ludzkiego nowe wskazał kierunki. W końcu Nothnagel polemizował z zarzutem, jakoby bakteryologia i farmakologia nowożytna odciągnęły lekarzów nowożytnych od podstawowych dla medycyny badań klinicznych. Klinika świadomą jest idealnych, humanitarnych swych zadań, nie zapomina ona, że dla medycyny praktycznej poznanie nie jest celem w sobie, jeno środkiem; rozgałęzienie i specyalizacya badań jej opiera się na przekonaniach, że pogłębiona znajomość szczegółów i rozwój nauki teoretycznej zbliżają ją do celów jej właściwych.

Kto wie, czy Nothnagel nie łudzi się, twierdząc, że duch specyalizacyi, który zawładnął badaniami medycznemi, nie staje w drodze rozwojowi tej umiejętności. Kto wie, czy owe *non possumus*, wypowiedziane na samym wstępie jego przemowy, nie pozostaje w związku z okolicznością, że medycyna nowożytna zbyt mało zajmuje się wpływem szkodliwym otoczenia. Zbadano wprawdzie miliony źródeł chorób, tkwiące w powietrzu, w wodzie, w ziemi i w domostwach ludzkich, lecz któryż z luminatów medycyny zajmuje się gorliwie i energicznie hygieną publiczną? Żadnemu z nich chyba nie przeszkadza zarzut Spencera, że hygiena ta, pozostając w sprzeczności z zasadą walki o byt, przeszkadza hodowaniu jednostek najwytrwalszych i dlatego nie powinna być uprawianą. Nie potrzeba być fantastą jak Verne, który w swych *500 milionach* nakreślił obraz miasta, urządzonego według zasad zdrowotnych, ani naukowym projektowiczem, jak ów lekarz angielski, który zaręcza, że w mieście Hygeopolis, którego założenie proponuje, ludzie żyć będą przeciętnie po 135 lat, by uwierzyć, że zdrowie, długość życia i szczęście ludzkie wzrosłyby znacznie, gdyby państwa miały budżet dla hygieny chociażby o dziesięć razy mniejszy, aniżeli dla sprzątania ludzi ze świata, i gdyby obok medycyny indywidualnej istniała społeczna.

Ladawa.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

24 maja.

Z pamiętników Fryderyka Bodenstedta. — Rok 1848 w Wiedniu. — Auerbach i Lorm. — Powstanie pieśni Mirzy Szaffego.

Drugi tom pamiętników Fryderyka Bodenstedta obudził w kołach literackich większe zajęcie, aniżeli pierwszy, o którym mówiliśmy w łamach *Prawdy* zeszłorocznej. Podczas gdy bowiem tamten opisywał podróże autora na Wschód i pobyt jego na Kaukazie, ten zapoznaje nas z rodowodem najsłynniejszej książki Bodenstedta, pieśni Mirzy Szaffego. Odnośny okres w jego życiu przypada nadto na epokę wybitną w historyi naszego stulecia: sędziwy poeta opowiada nam dzieje roku 1848, obserwowane przez ludzi spokojnie myślących, wynurzających się ponad falę zdarzeń, mimo iż w nich czynny biorą udział. Rok ów niejednego poetę niemieckiego uczynił dziennikarzem: takim był też los Bodenstedta. Nakładca dzieła jego o ludach kaukaskich zbankrutował zaraz po wyjściu książki, nad którą autor trzy lata pracował. Pozbawiony wszelkich do życia środków, a wiedząc dobrze, że lutnią dobije się sławy, lecz chleba nie zdobędzie, nawiązał stosunki z bar. Bruckiem, założycielem dziennika *Oesterreichischer Lloyd*, wychodzącego wówczas w Tryeście. Bruck, poznawszy się niebawem na literackich i publicystycznych zdolnościach swego współpracownika, postanowił przenieść pismo pod redakcyą jego do Wiednia, a we wrześniu 1848 r. spotykamy Bodenstedta na ulicach stolicy naddunajskiej, zwykle wesołej i rozbawionej, wówczas zaś pełnej niepokoju i grozy. W niezliczonych klubach ówczesnych kipiało, znakomitości dnia wyrastały z pod ziemi, zdobywając sobie odrazu popularność t. zw. „Schlageramì,“ zwrotami dosadnymi lub dowcipnymi. I tak jeden z demokratów ówczesnych, parafrazując znane słowa poety, głosił: „Unruheist des Bürgers erste Pflicht“ (Niepokój pierwszym obywatela obowiązkiem). Bodenstedt, dzięki swemu publicystycznemu stanowisku, wiedzieć musiał o wszystkiem, co się działo. Okres ten jednak tylokrotnie już był opisywanym przez uczestników wypadków ówczesnych a zwłaszcza przez L. A. Frankla, przeżuwającego je wiecznie, że Bodenstedt poprzestaje na szkicu dość pobieżnym, zaznaczając swe wrażenia osobiste. Opowiadanie jego wznosi się na punkt szczytowy w opisie dnia 6 października, kiedy pułk t. zw. „dzieci wiedeńskich“ zmuszono do opuszczenia miasta rodzinnego, kiedy gwardya narodowa walczyła na barykadach, kiedy wreszcie tłumy rozwścieklone poświęciły zemście swej ministra Latoura. Wówczas to wieczorem słynny publicysta Kuranda oprowadzał Bodenstedta po ulicach Wiednia. Na rogu Grabenu, na placu zwanym „Stock im Eisen,“ wisiał pokaleczony hrabia Latour, uczepiony do latarni trójramiennej. Zdarto zeń odzież wierzchnią; stare kobiety, podobne do furyj, pastwiły się jeszcze nad trupem, zrywając zeń pończochy. Bodenstedt zabarwia opowiadanie swe tak indywidualnie, że z zajęciem przegląda się znane dzieje walk następnych aż do dnia, w którym żołnierze księcia Windischgraetza i banusa Jellaczyca wracają Wiedniowi ponury spokój.

Atoli szczęk broni, huk armat i wrzawa polityczna nie przytłumiły całkowicie życia literackiego i towarzyskiego. Obraz kółka, schodzącego się wieczorami, by wytchnąć po strasznych wypadkach dnia, posiada cały urok sielanki na tle stosunków ówczesnych. Bodenstedt zapoznaje się z wybitniejszemi artystkami Burgteatru. Sła-

wna Julia Rettlich, przyjaciółka Halma, zostaje i jego przyjaciółką, a u pięknej Luizy Neumann poznaje młodego autora, którego gwiazda właśnie wschodzić zaczynała. Był to Bertold Auerbach, a zetknięcie się obu pisarzów było charakterystyczne dla ostatniego, znanego ze swej próżności. Auerbach, stojąc przed Neumanówną w najwyższem rozdrażnieniu, pokazywał jej ustęp w jakimś dzienniku. Ona, wracając się do Bodenstedta, rzekła z uśmiechem: Pozwól mi pan pocieszyć biednego kuma: oto co pisze o nim *Gazeta ołomuniecka*: „Pomiędzy znakomitościami zagranicznemi, bawiącemi obecnie w Wiedniu, znajduje się też dr. Bertold Auerbach, który się wsławił w procesie z autorką Bisch-Pfeiffer...“ Głęboko obrażony Auerbach gniewnemi spojrzeniami komentował tę notatkę, Bodenstedt z Neumanówną zaś serdecznym wybuchnęli śmiechem.

Znajomości z Auerbachem zawdzięcza on miłe, ożywione wieczory, spędzone w Wiedniu podczas rozruchów 1848 r. Auerbach oznajmił, że po za zdarzeniami politycznemi zajmują go dwie sprawy: niejasny plan tragedyi historycznej, której bohaterem miał być Andrzej Hofer i — jasna zupełnie sprawa małżeńska. Planu tragedyi tej nie wykonał nigdy, ale oblubienicę swą ówczesną poślubił istotnie. Była to Nina Landesmanówna, córka domu, który w umysłowem życiu Wiednia wybitną odegrał rolę. Skupiał on najcelniejsze talenty ówczesnego Wiednia; tam zapoznał się Bodenstedt z autorką Betty Paoli i z genialnym Fryderykiem Hebblem, który przebywszy ciernistą część swej poetyckiej karyery, pracował właśnie nad „Julią.“

Na tle tego domu, w którym zręczność i talent twórczy współzawodniczyły z sobą, dziwnie rysuje się postać młodego człowieka, nieznanego jeszcze wtedy w literaturze. Był nim młodszy Henryk Landesmann, stanowiący zawsze punkt ośrodkowy zebrań towarzyskich. Twarz jego o rysach wyrazistych, pełna myśli głębszej, ściąga na siebie spojrzenia wszystkich obecnych. W rozmowach zawsze ożywionych, które prowadziło tylu ludzi dojrzałych i wybitnych, młody ten człowiek zawsze rej wodzi. Jest to tem dziwniejsze, że był zupełnie — głuchym. Rodzice i rodzeństwo zapomocą mimiki i mowy palców zapoznają go z treścią rozmów: w lot pochwytuje on myśli dyskutowane, wypowiada o każdej sprawie zdanie oryginalne, a od czasu do czasu przerywa dyskusyę pytaniami zdumiewającemi. Miał on następnie odegrać znaczną w literaturze rolę: mimo iż w dodatku ociemniał, wyszedł na słynnego poetę i powieściopisarza. Imię Henryka Landesmanna zdawało mu się snać zbyt pospolitem. Nazwał się Hieronimus Lorm.

Dla Bodenstedta wieczory w domu Landesmannów szczególnego nabrały znaczenia. I on przyczyniał się do ożywienia rozmów, wzbogacając je opowiadaniami o swych podróżach po Rosyi i Azyi, opisami zwyczajów i poglądów wschodnich, z jakiemi zapoznał się w Tyflisie. Często wspominał o nieznanym wówczas światu europejskiemu Mirzie Szaffym, którego Bodenstedt żartem uczynił genialnym przedstawicielem mądrości wschodniej, wkładając w jego usta rzeczy, które słyszał tu i owdzie, lub myśli własne. Powodzenie, jakie odniosły żartobliwe te jego zwroty, było dlań miłą niespodzianką i wpłynęło na dalszą jego twórczość literacką. Całe towarzystwo poczęło niebawem mówić w tonie Mirzy Szaffego, stary filozof wschodni w owem małem wiedeńskiem kółku literackiem był najpopularniejszą osobistością, zanim jeszcze pojawiły się pieśni, które imię jego rozniosły po całych Niemczech i po za ich granice. Pieśni tych Bodenstedt nie byłby napisał, gdyby atmosfera domu Landesmannów nie była go do tego pobudziła i gdyby Auerbach i Lorm nie byli mu doradzali usilnie.

W ten sposób — rzecz dziwna — geneza słynnych tych pieśni łączy się bezpośrednio z wiedeńskimi dniami październikowymi. Od czasu, kiedy Goethe napisał epopeę zwierzęcą, *Reinecke Fuchs*, wśród zgiełku wojen Napoleońskich, nie było w literaturze niemieckiej podobnego zjawiska. Wesołej filozofi spokojnego zawsze używania życia, której uczą pieśni Mirzy Szaffego, nikt może bardziej nie trzymał się, aniżeli owo kółko, którego obraz występuje w pamiętnikach sędziwego dziś Bodenstedta, a które mimo obywatelskiego współudziału w ówczesnych dziejach politycznych, dalekie od dzikiego szału mas, umiało pielęgnować znicz życia umysłowego i twórczości literackiej.

L.

LITERATURA POLSKA.

W. A. Bruchnalski, *Geneza „Grażyny,“* Lwów, 1890.

Z pomiędzy utworów Mickiewicza *Grażyna* najmniej miała szczęścia do krytyków. Okrzyczano ją jako poemat, od którego wieje chłód klasycyzmu, zarzucono mu brak prawdy dziejowej i skąpe użycie zasobów wyobraźni w odtworzeniu przeszłości. O ile zarzuty te są prawdziwe, wykazać mogą dopiero ścisłe prace krytyczne, których, niestety, dotąd zbyt mało posiadamy. W dotychczasowych rozbiorach i ocenach *Grażyny* badacze nasi przeważnie zajmowali się estetyczną formą tego poematu. Brakło jednakże dotąd usiłowań w kierunku wyjaśnienia genetyczno-historycznej jego strony. Pierwszym krokiem naprzód w tym kierunku, przynoszącym wiązankę zdobyczy nowych i uwag trafnych jest praca p. Bruchnalskiego. Wbrew twierdzeniu dotychczasowych krytyków *Grażyny*, mianowicie Nehringa i Tretiaka, którzy rozwinęli pogląd, że temat jej jest wzięty z fantazyi, a tylko zlekka oparty o tło historyczne, dowodzi autor, że zapatrywanie to jest zupełnie mylne. Idąc za objaśnieniem samego Mickiewicza, a wziąwszy nadto do pomocy użyczony mu przez K. Przezdzieckiego autograf, w którym osoby główne, Litawor i Witold, noszą nazwę Korybuta i Kiejstuta, wykazuje p. B., że za treść do osnucia *Grażyny* posłużyły ustępy z XIII i XIV rozdziału Kroniki Stryjkowskiego, opowiadające o rzeczywistym fakcie historycznym z r. 1393, dotyczącym sporu książąt litewskich Korybuta i Witolda, tudzież ustępy z kronik pruskich Lindenblatta i Wiganda. Mickiewicz poczynił tu w osnowie pewne zmiany uwarunkowane biegiem powieści, jak tragiczny koniec Litawora, mimo to jednak sam fakt jest w przeważnej części historyczny. Również historycznym i na kronikach opartym wydaje się autorowi charakter Korybuta czyli Litawora, dalej postać radcy sędziwego Rymwida, który posiada wiele cech znamiennych przekazanego w kronikach charakteru Wojdyłły, doradcy Olgierdowego. Najmniej historyczną jest postać samej Grażyny; zdaniem p. B. jest to utwór fantazyi, będący wcieleniem romantycznej rycerskości, zabarwionej patryotyzmem, w kobietę litewską owych czasów. P. Bruchnalski nie zadawala się jednak tem określeniem, lecz idąc w poszukiwaniach źródłowych dalej od dotychczasowych badaczów tego przedmiotu pp. Chlebowskiego i Tretiaka i przyznając wraz z nimi, że jedноczy ona pewne rysy charakteru Kamilli z *Eneidy* i Kloryndy z *Jerozolimy* Tassa, czyni nowe odkrycia: idąc za śladem współczesnej lektury Mickiewicza, odnajduje silne podobieństwo pomiędzy Zorą, bohaterką powieści Floryana *Gonzalw z Korduby* a Grażyną. Podobieństwo to uderza go najsilniej w przedstawieniu końcowego epizodu zgonu i pewnych wspólnych cech charakteru. Odkrycie powyższe nie jest bez znaczenia i dowodzi skrzętnych poszukiwań p. Br., mimo to jednak nasuwa uwagę, o której zapominają często trzymający się ściślej analizy nowsi krytycy, że nie należy być pochopnym w odkrywaniu źródeł zwłaszcza urojonych u tak genialnych i twórczych potęg umysłowych, jak Mickiewicz. Niedawno temu p. Chlebowski dowodził, że wiele epizodów *Grażyny* przypomina żywo sceny z *Jerozolimy* Tassa, p. Kallenbach usiłował dowieść, acz bezowocnie, wielkiego wpływu Jean Paula na naszego wieszcza, dziś p. Bruchnalski, choć się przeciw temu zastrzega, zapożycza postać Grażyny a raczej motyw końcowy od Floryana. Zdaje się, że gdy tak dobrze dalej pójdzie, dla Mickiewicza w końcu niewiele zostanie. Faktem jest, że poeta nasz wchłaniał wiele pierwiastków z literatur obcych, ale przetrawiał je zupełnie i tchnieniem swego geniuszu przerabiał na swą własność. Podobieństwa pozorne są tylko echami dalekich reminiscencyj, które w wrażliwym umyśle wieszcza trwały ślad pozostawiały. Stworzone przezeń postacie mają tak wybitne piętno oryginalności siły i plastyki, że żadną miarą nie można ich przyjmować za kopie wzorowane z dzieł pisarzów, niedorównujących ani w cząstce jego geniuszowi.

W. P.

Sęk Antoni Józef (Mieszkowski). *Nowele.* Serya II. Warszawa, 1890.

Druga serya nowel p. Sęka jest zbiorem kilku garści wątku życia rodzinnego, salonu i teatru. P. Sęk ma dużo zmysłu spostrzegawczego. Jego „Malcy“ bawią się, robią psotę, zmykają na strych przed rózgą dziadka, tak jak w rzeczywistości — typowo, dziadek z babką trwożą się o los wnucząt wobec szalejącej burzy — również bez zarzutu prawdziwie. Albo „Staruszkowie.“ Jest to jedna chwila z ich życia, bardzo uroczysta. Dwoje starych ludzi oczekuje powrotu posłańca, a z nim wieści o rezultacie połogu synowej. Razem z nimi oczekuje też i ich wnuczka, dziewczyna szesnastoletnia, tylko sama nie wie czego. Wyprawili ją rodzice z domu do dziadostwa, żeby nie zachwiać przedwcześnie wpojonej w nią wiary o bocianach, przynoszących dzieci pod strzechy rodzicielskie. Rzecz się dzieje w wieczór zimowy, okienice zamknięte, przez ich serca do wnętrza zaziera blady blask księżyca, na kominku drwa tleją. Każde szczeknięcie psa nabiera niezwykłego znaczenia, jako zwiastujące powrót posłańca. Autor starannie wycieniował psychiczny nastrój chwili, za drobiazgowo może nawet, dojrzał on nawpół obumarłą leniwą muchę, pełzającą gdzieś w półcienie wieczornym na kredensie. Ale tem jeszcze lepiej uwydatnił właściwość oczekiwania w danych warunkach, graniczącego prawie z sennością starczą. Wyżeł wygrzewa się u kominka zadrzemany, iskra strzeli, padnie opodal pyska, on otworzy oko zdziwione, popatrzy i znów drzemie wraz z państwem. Naraz ujadanie gwałtowne psów, posłaniec i wieść szczęśliwa: starzy się doczekali wnuka.

Snycerszczyzna w podrzędnych akcesoryach zdaje się być słabością nieuleczalną u p. Sęka. Jako ostatnie sztrychy obrazków, wiele to im nadaje plastyki. Szczegółnie szczęści się autorowi w chwytaniu żywcem drobnych scen przyrody, w podsłuchiwaniu nikłych tętn życia. Niekiedy składa się to prawie na wyłączną treść obrazku i wtedy mamy np. nowelkę p. n. „Panienka,“ która swoją drogą napisaną została w zamiarze potrącenia subtelnie napiętych strun arfy eolskiej, jaką jest dusza niejednego z czytelników polskich. Lekkie łaskotanie sentymentu narodowego... Trudno jednak mieć tego za złe autorowi, skoro te drobnostki wydzielają z siebie dużo woni po-

tycznej. Żeby lepsze dać o tem wyobrażenie, pozwólmy p. Sękowi otworzyć usta.

„Staś już dumał o tym, co „musiał umrzeć, choć miał mało lat,“‘ a Anusia z trwogą poglądała w las. W tem zrobiło się zamieszanie. Z najbliższej sosny wiewiórka strąciła szyszkę i przerażona własnym czynem, pomknęła w górę, aby z za gałęzi obserwować dalsze losy strąconej. Szyszka potoczyła się po drzewie, ale odbiwszy się od kilku sęków, zmieniła kierunek i, zboczywszy w drodze, upadła na krzak jałowcu. W cichem państwie zrobił się przewrót: z krzaka frunął motyl, przerażony łoskotem, frunął bąk, który do tej chwili najgłośniejszym był w tej stronie — pszczoła i dwie muchy; szyszka zakołysawszy się na gałązce, spadła niżej, przesunęła się po równi falistej listków paproci, poruszyła kielich konwalii i potoczyła się w mrowisko. Zamęt się zwiększył. Już z jałowca czmychnął wróbel zawsze czujny, co zastanowiło dzięcioła, psującego dziób i drzewo: wstrzymał swą robotę i wraz z wiewiórką i wróblem dalej w obserwacye. Paproć kołysała się nieznacznie, dzwonek konwalii oderwany potoczył się, rozchylił dwie trawki nieco i uwiązł w nich, płosząc komara, drzemiącego tu właśnie; mrówki szybko się załatwiły z szyszką, wcielając ją do swego terytoryum bez żadnych umów i traktatów.“ Pieściwy obrazek, tylko czy z szyszką, zważywszy na krótkość czasu, nie za szybko załatwiły się mrówki, a *konwalia*, której autor w czasie *żniw* każe mieć dzwonki, czy nie za długo kwitła? Urodzonym i wychowanym na wsi nie wypada nawet tak drobniuchnych usterków się dopuszczać.

Jakeśmy rzekli, osią nowel p. Sęka jest życie rodzinne, teatralne i salonowe. Są tam dwie i maluczkim poświęcone („Matka“ i „Złe miejsce,“ z tej ostatniej przeziera nędza wdowia i półświatek...). W sferze salonu swobodnie się porusza autor i daje czytelnikowi dwa cacka zrobione z subtelnej pajęczyny więzów świata konwenansowego, która oplata sobą zmysłowość drgającą nerwowo („Dzwonek“). W „Pantofelku“ zręcznie jest uwydatnioną nieśmiertelna scena Józefa i Putyfarowej. Ociężały samiec nie zrozumiał wyrafinowanej kokieteryi samicy. Zakazała mu zbliżać się do hamaku, który ją bujał, zrzuciła nic umyślnie pantofelek z nóżki, broniąc mu obłudnie go podnieść. Delikatny wielbiciel uwierzył, ona przybrawszy pozę zalotną usnęła z grymasem na ustach, zbudziła się: mucha łaskotała nóżkę poprzez pończoszkę ażurową, gach opodal spał snem twardym. „A podnieśże pan nareszcie ten pantofel“ — zawoła gniewnie. „Więc mogę“?.. „Komu innemu nie pozwoliłabym, ale widzę, że panu można się oddać pod opiekę całkowicie... nawet we śnie...“

Równą znajomość życia kulis teatralnych wykazał autor w „Kasi,“ „Panny Geni“ itp. Znać dużo czasu miał na studya tego rodzaju. W granicach niniejszego tomiku można śmiało powiedzieć, że łódka jego lekko i z wdziękiem się ślizga po powierzchni życia.

Zyg. Piet.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Deszcz w dwu oświetleniach. — Milcząca walka. — Słońce wyniszczające grunt nowin. — Ostrożnie z ludzkiem sercem. — Wycieczka epokowa. — Ciekawe cyfry. — Ile płacimy rocznie zagranicy u wód. — Bogaty naród. — Czem był *Tygodnik powszechny.* — Żyć mógł a umarł rozgoryczony. — Ofiara oszczędności.— Spadek po *Kłosach.* — Odezwanie się czci dla Chałubińskiego. — Bodajby nie przebrzmiało pustym dźwiękiem.

Dnia 23 maja padał w Warszawie deszcz z gradem. Deszcz był dość ulewny, ale krótkotrwały, grad drobny i rzadki, więc co najwyżej można było przypuszczać, że wieczorem pojawią się w *Kuryerach* artykuliki tego np. znanego rodzaju: „Litościwa chmura. W porze polewania ulic chmura, zmiłowawszy się nad rycerzami konewki, wybiegła na pogodne niebo i...“ itd. Tymczasem jeden z naszych nieocenionych informatorów rzucił po południu na miasto wstrząsający opis „groźnej nawałnicy“ z „kanonadą gradu,“ która miała porobić „znaczne szkody.“ Czego nie widzieliśmy i nawet nie przeczuwaliśmy, a co on zbadał, „wiele ulic w niespełna 5 minut zamieniło się w rwące potoki i szerokie rzeki brudnej wody,“ tu i owdzie potworzyły się „wodospady“ a „gwałtowność prądu“ była tak wielką, że niósł on „sześcioletniego malca ku otworowi kanału“ (ponury obraz zastępujący kołyskę z dzieckiem podczas przyboru Wisły). „Właściciele posesyj byli przerażeni,“ jeżeli zaś cała Warszawa nie zaznaczyła tego pamiętnego dnia w swych wspomnieniach i już nazajutrz ochłonęła z trwogi, to tylko dlatego, że drugi *Kuryer* do kroniki zapisał o owej „groźnej nawałnicy,“ jej „rwących potokach“ i „wodospadach“ następującą notatkę: „Wczoraj przeciągnęła przez Warszawę burza z gradem. Ulice, *jak zwykle* podczas silniejszych deszczów, zostały zalane; szkód jednak *żadnych* przy robotach kanalizacyjnych i miejskich krótkotrwała ulewa nie zrządziła.“ Uspokoiliśmy się, ale z wielce wytężoną uwagą oczekiwaliśmy niewątpliwej i srogiej walki między dwoma obozami reporterskimi, które stanęły względem siebie w tak ostrem przeciwieństwie. Do starcia jednak nie przyszło — obie strony w milczeniu zachowały swoje stanowiska. Pozostawiona w duszy świadków tego zatargu wątpliwość nasuwa im przypuszczenie, że może owego dnia, kiedy padał rzęsisty deszcz, panowała dokuczliwa susza w „wiadomościach bieżących.“ I ja temu mniemaniu obronić się nie mogę. Przed paru laty wracałem ze wsi do Warszawy. Śnieg pruszył niespokojnie, podrzucany i rozdmuchiwany wiatrem, ale tak, jak dość często zwykł to czynić w zimie. Wystawcie sobie tedy moje zdziwienie, gdy przybywszy do Warszawy, nazajutrz w jednem z pism przeczytałem telegram, że w okolicy, którą przejeżdżałem, „szerzyła się gwałtowna śnieżyca,“ która „chwilowo wstrzymała bieg pociągów“ (rozumie się — na stacyach). I to był również dzień, w którym nietylko Warszawa, ale Europa nie urodziła ani jednej ciekawszej nowiny. Pojąłem... śnieżycę.

Jeżeli Bóg nie ulituje się nad kaniami w prasie i nie ześle im kropelek dżdżu, bądźcie przygotowani na to, że każda kradzież podczas tych — jak mówią niemcy— „psich dni“ będzie się nazywała olbrzymią, każda bójka uliczna — krwawą potyczką, każdy deszcz — groźną nawałnicą, każdy zalany rynsztok — rwącym potokiem. Gdyby nasze pisma czytywał Falb i zauważył, że tu dokonywają się jakieś straszliwe kataklizmy po za jego dniami „krytycznymi,“ możeby wystąpił z dochodzeniem prawdy i pretensyą; ale na szczęście on o tych gwałtownych przewrotach natury n nas nic nie wie, przeto nie grozi nam żadne „sprostowanie.“

Tak, słońce, które zapładnia życiem naturę, wyjaławia grunt „wiadomości bieżących.“ Trzeba więc go podsycać przesadą, a gdy ta nie skutkuje— nawet kłamstwem. Dopóki wszakże te środki stosowane są dla powiększenia lub wytworzenia burzy, bójek ulicznych itp. rzeczy niewinnych — można z ironicznym uśmiechem przypatrywać się owym reporterskim inspektom. Ale inna sprawa gdy tropiciele nowin wyrzucą lekkomyślnie na ulicę czyjść honor i czyjeś skrwawione serce. Niedawno spadł z okna i zabił się pracownik pewnej instytucyi handlowej, jedyny syn lekarza prowincyonalnego. Wypadek był co najmniej zagadkowy, niezagadkowym był natomiast charakter nieboszczyka. W ciężkich warunkach życia uczył się on i nauczył tak wiele, że marzył nawet o karyerze piśmienniczej. Wątły i nerwowy, według wszelkiego prawdopodobieństwa po kolacyi z towarzyszami, przy której jakaś niepotrzebna kropla zamroczyła mu słabą głowę, wróciwszy do domu, usiadł na oknie dla odetchnięcia świeżem powietrzem, stracił równowagę i spadł z trzeciego piętra. Traf potrzebuje mało, ażeby sprowadzić nieszczęście: mógł on więc i tu drobną przyczyną sprawić wielki skutek. Tymczasem reporterzy niektórych pism wystawili zwłoki biednego młodzieńca na urągowisko publiczne, rzucili mu do grobu garść zniesławiających zmyśleń i kłamstw, mianowali ofiarą knajpowania i pijatyki. Ciało człowieka idzie do ziemi, ale jego honor pozostaje w sercu tych, którzy go kochali. Łatwo więc wyobrazić sobie, ile te reporterskie mówki cmentarne mogą zadać bolesnych i głębokich ran płaczącym nad drogą mogiłą. Serce ludzkie jest tak czułe, że nie można go dotknąć nawet puchem; niech pomyślą, ile ono cierpi, ci, którzy je kłują ostrem piórem. Natura je uczyniła najświętszem i dlatego nietykalnem. O tem pamiętać powinien każdy, kto nie chce popełnić bezkarnych, ale ciężkich występków.

Jak rzekłem tedy, chociaż skwarne słońce wylęga jaja, złożone w piasku przez reporterskie strusie, mimo to życie pozostaje spieczoną pustynią, na której przeróżne zabawy są w niej oazami. Rauty i bale nawet dla najszczęśliwszego i najweselszego narodu stały się przy obecnej temperaturze niemożliwe: więc to szczęście i wesele wylewa się w wycieczkach. Z kolei wioślarze mają urządzić „epokową.“ Przyklaskuję pomysłowi temu szczerze: bo naprzód sądzę, że my przedewszystkiem bawić się powinniśmy, a powtóre tak dawno już w życiu naszem nie mieliśmy ani czynu, ani zdarzenia epokowego, że z rozkoszą powitamy chwilę, od której historya nasza rozpocznie nowy okres. Spełni się zaś ten fakt dziejowy 8 czerwca w Jabłonnie.

Nadchodzi pora wycieczek dla zdrowia i zabawy do wód zagranicznych. Trzeba jechać długo, w wagonie siedzieć nudno, więc radzę, niech każdy — chory i zdrowy—weźmie z sobą i przeczyta świeżo wydaną broszurkę „Przeszłość i stan obecny zakładu leczniczego w Nałęczowie.“ Szczególniejszą zaś uwagę zwracam na wnioski, wyciągnięte z obliczeń d-ra Nussbauma, który zadał sobie trud zestawienia list imiennych naszego stada ptaków odlotnych do rozmaitych wód niemieckich i austryackich. „Okazuje się (odnośny ustęp dla nieposiadających broszurki przepisuję), że nasz biedny kraj dostarcza tym obcym wodom więcej chorych, niż *każdy inny* w Europie. Polaków było *w każdem* z tych miejsc *znacznie więcej*, niż rosyan z *całego* Cesarstwa. Poddanych rosyjskich *w każdem* z tych miejsc było więcej, a przynajmniej tyleż, co z *całej* zresztą Europy, prócz Niemiec i Austryi. Dla zadośćuczynienia potrzebom rodaków praktykuje u wód zagranicznych ze *20* lekarzy polaków, a przecież lekarzy rosyan, anglików, francuzów *niema tam wcale.* Powstały nawet zagranicą zakłady lecznicze polskie (Fürstenhof i Steinerhof)... Jeżeli jeszcze dodać, że tym chorym towarzyszą zdrowi; że ci ludzie nietylko się leczą, ale i bawią, często bardzo kosztownie; że przy sposobności zagranicą robią zakupy, sprawunki, to dopiero zrozumiemy cały ogrom tego haraczu, corocznie składanego zagranicy, a głównie niemcom. Takiego podatku po za swój kraj nie wywozi nikt, prócz chyba anglików. O dokładnych cyfrach naturalnie nie może być tu mowy. Niezawodnie jednak corocznie wyjeżdża na kuracyę do 20,000 polaków, wywożąc w ten sposób jakieś 5—10 milionów rubli. Prawdopodobnie nie o wiele więcej wynosi utrzymanie całej służby zdrowia w kraju, a więc dochody

lekarzy, felczerów, aptek, szpitali itd.“ Autor tłomaczy to zjawisko „chorowitością a zwłaszcza nerwowością naszej klasy średniej i bogatszej,“ dalej bałwochwalstwem dla wszystkiego, co obce, modą, zamiłowaniem zbytku — itd. Do tych przyczyn dodałbym jeszcze jedną: znaczny procent leczących się u wód zagranicznych stanowią nasi żydzi, którzy unikają krajowych miejsc kuracyjnych z obawy przed wzgardą, jaka ich tam zwykle spotyka. W każdym razie pozostanie zastęp liczny i haracz olbrzymi. Bo odtrąćmy nawet połowę, przyjmijmy tylko 5 milionów rubli i zważmy, że tę sumę zapłaciliśmy niemcom w roku przeszłym, w roku biedy i nieurodzaju; ileż tych rubli płynęło corocznie w latach pomyślniejszych! Strach pomyśleć — jacy my... bogaci! A ja się tu kłócę o marne bale, rauty i zabawy! Nie, my wszystkiego pozwolić sobie możemy, bo nas stać na to! Dalej, panowie i panie, na wycieczki, do Karlsbadu, Marienbadu, Cieplic, gdzie kto pragnie, gdzie przyjemniej i weselej; ci zaś, co pozostaną w kraju, krzyczeć będą: niech żyje najszczęśliwszy i najbogatszy z narodów! Tylko anglicy mu dorównywają — bagatela!

Bogaty ten naród nie zdołał jednakże utrzymać *Tygodnika powszechnego*, który już oddał Bogu ducha i *Kłosów*, które po 25 leciech śmierć za kilka tygodni skosi. Nad pismami ciążą czasami fatalizmy. Ilu przemianom uległ *Tygodnik* w tytule, obliczyć łatwo, ale ile miał redakcyj, bez uprzednich studyów powiedzieć nie umiem. Był dziecinnym, pozytywnym, umiarkowanie postępowym, konserwatywnym, pobożnym, bezwiednie humorystycznym, nijakim i wszelakim; sterowali nim już wszyscy i wszyscy, osiadłszy na mieliźnie, opuszczali niewdzięczny a raczej wyklęty przez losy statek. Przez ostatnią metamorfozę przeprowadził go p. Gomulicki, który nie dał mu żadnej nowej barwy, tylko nową szatę. Jako rzetelny poeta nie tyle dbał o zasady, ile o jego piękno, nie tyle o stronę umysłową, ile o estetyczną. Wytworzył więc pismo obrazkowe, urozmaicone świeżymi pomysłami techniki ilustracyjnej, gustowne a tanie. Nie pamiętamy w niem artykułów większej wagi, ale spotykaliśmy często rysunki umiejętnie dobrane i ładne. Wytężając swe starania w kierunku artystycznym, redakcya rozpoczęła nawet w dodatku druk *Encyklopedyi sztuki*. W miarę wszakże jak *Tygodnik* wyczerpywał swe siły w daremnych zabiegach o rozszerzenie koła swych przyjaciół i przedpłacicieli, ubożał i zaniedbywał się, składając dowód nie swojej krótkotrwałej staranności, ale zawodu i niewiary w poparcie ogółu, dla którego dziś jedynym papierem ponętnym stał się papier giełdowy. Rozdrażniona i wyważona z równowagi redakcya uległa nawet kilkakrotnie żółciotokom polemicznym, które szkodziły własnemu jej zdrowiu i nie licowały z jej godłem — dobrym smakiem. Zgodnie ze swą tęczową wielobarwnością, *Tygodnik*, gasnąc, niepokwitowanym jeszcze abonentom zaofiarował w zamian: *Wędrowca* lub *Encyklopedyę powszechną* — dwa wydawnictwa również ilustrowane i również pozbawione znamion wyrazistych.

Czy go żałować należy? Niewątpliwie. Byłże przecie organem naszej myśli i naszej mowy a przy życzliwości i pomocy ze strony ogółu mógł był rozwinąć się w ilustracyę tanią, piękną i daleko pożyteczniejszą, niż szkaplerzowa *Biesiada*. Niestety, bożek karnawału i niemieckie *Bady* nieprędko jeszcze poczują naszą „oszczędność,“ ale prasa, ale literatura już ją zna. Nie zamykajmy ust, bo nie możemy zamknąć oczu, i powiedzmy szczerze, że nasz ruch wydawniczy biegnie do powszechnego bankructwa.

Rzeczywiście, „dziwnie się plecie na tym tu świecie.“ *Tygodnik powszechny* i *Kłosy*, walcząc niedawno z sobą zajadle, nie spodziewały się, że razem i z jednakich przyczyn zejdą do grobu. P. Lewental jeszcze nie ogłosił swego testamentu wydawniczego, ale *Tygodnik ilustrowany*, otarłszy łzę żalu po współtowarzyszu, już się wylegitymował jako jego spadkobierca i obiecuje, że tę sukcesyę przyjmie z poczuciem zwiększonej odpowiedzialności względem ogółu. Do żywota *Kłosów* jeszcze powrócimy: trwał on bowiem ćwierć wieku i miał momenty charakterystyczne, które przypomnieć warto.

Ktoś, kogo *Medycyna* nie wymieniła, przypomniał sobie cześć, czy wdzięczność dla Chałubińskiego oraz jego zasługi i ofiarował 10,000 rs. na instytucyę hygieniczną, która ma być poświęcona pamięci tego wielkiego i szlachetnego człowieka. Po tej dziwnej obojętności, jaką względem niego objawił ogół, a zwłaszcza lekarze, wobec faktu, że cieniom ludzi daleko mniejszej miary składamy szybko i długo hołdy, owa wiadomość uwalnia od zgryzoty nasze sumienie i wyrywa cierń z naszego serca. A niechże ona nie będzie czczą pogłoską, bo doprawdy takie przeskakiwanie społeczeństwa przez mogiły najlepszych jego synów osłabi w przyszłych chęć służenia mu miłością i pracą.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Zabiegi szlachty wołyńskiej. — Samodzielność prowincyi ruskiej. — Piorun z nieba finansowego. — Nowy burmistrz Mińska.

Szlachta wołyńska wystąpiła ze staraniem o wzbronienie niemcom nabywać ziemi na Wołyniu. Ta sama szlachta pierwsza była inicyatorką gospodarki leśnej rabunkowej, a dziś ujrzawszy się w pustkowiu łysych wydm, które topór kolonisty niemieckiego wykarczował, wykrzykuje: „Tato, Fryc, jest niegrzeczny — bije się!“ Ten stan rzeczy ma jednak nietylko stronę komiczną — jest i tragiczna. Niemcy prawem kaduka lasów nie tępią, wymaga tego interes właścicieli, którzy im pozwalają, ale pociąga to za sobą klęskę całego kraju, którą państwo powinno usunąć. Sądzimy wszakże, iż gdyby prawo leśne ochronne było bardziej niegrzecznem dla pp. ziemian, niż Fryce dla nich, skutek pozostałby prawie ten sam. Prośby ich mają wszelkie szanse powodzenia, gdyż kolonizacya niemiecka w świetle artykułów *Swieta* i innych jemu pokrewnych pism nie pozbędzie się charakteru „konia trojańskiego.“

Na zasadzie danych o wzroście drukarstwa w Odesie, ogłoszonych *Pamiętnikach* odeskiego oddziału Towarzystwa technicznego oraz faktów zaczerpniętych skądinąd, daje nam *Niedziela* następujący obraz kultury na prowincyi ruskiej: W Odesie lat 40 wstecz była tylko jedna drukarnia, obecnie jest ich 35, z których 20 powstało w ostatniem dziesięcioleciu. Pod tym względem Odesa prawie dorównywa Petersburgowi, ponieważ w tym ostatnim jedna drukarnia przypada na 9,000 mieszkańców, gdy w Odesie — na 10,000. Godnem jest uwagi, że drukarnie petersburskie pracują dla zaspokojenia całej Rosyi, gdy tymczasem zakres odeskich jest znacznie węższy. Przed laty 60 w Odesie było jedno pismo urzędowe z 37 abonentami, teraz zaś jest 14 tłoczonych w ilości 27,000 egzemplarzy. Najciekawszym jednak jest sam wzrost liczby książek, wychodzących w Odesie. W r. 1883 wydrukowano tam 266 dzieł, w r. 1888 już 556, tj., w ciągu pięciu lat liczba książek i broszur wzrosła, więcej niż dwukrotnie. Następnie w 1883 r. wydrukowano 280,710 egzemplarzy książek i broszur, a w r. 1888 już 820,237 czyli trzy razy tyle. Wogóle liczba książek wydawanych w Odesie stanowi 10% ogólnej ilości książek wydawanych w Rosyi. Dane te wystarczają, żeby powziąć przekonanie o dążności Noworosyi do zodśrodkowania swego życia umysłowego... Drugiem wybitnem ogniskiem drukarstwa jest Kazań. Ale nie dość tych dwóch miast, książki teraz się drukują w Rosyi powszechnie, nietylko w miastach gubernialnych, lecz w niektórych powiatowych, ledwie znanych komukolwiek. Nawet tanie wydawnictwa ludowe, będące do ostatnich czasów monopolem Moskwy i Petersburga, dziś prowadzone są w wielu miastach prowincyonalnych, jak Odesa, Kijów, Charków, Kazań, Woroneż, Perm, Riazań, Jekaterynosław. Tak samo rzecz się ma z prasą peryodyczną. Liczba pism prowincyonalnych nieustannie wzrasta, pisma zaczynają wychodzić w zapadłych i odległych miejscowościach. Prowincya już się zdobywa na czasopisma naukowe, techniczne, prawne, lekarskie. Tych ostatnich po za obrębem stolicy liczą już około 10. Rozwój prasy prowincyonalnej stworzył poważne grona literatów, utrzymujących się z pióra. Liczba ich jest już tak duża, że zaczynają powstawać prowincyonalne towarzystwa literackie (Odesa i Saratów).

Prasa ruska nie może jeszcze ochłonąć po gromie, który spadł na nią z Olimpu kapitalistów. Właściwie Prometeuszem był p. Notowicz, redaktor *Nowosti*. Na skutek wytoczonego jemu procesu o potwarz przez p. Masłowskiego, prezesa Banku ziemskiego tulsko-petersburskiego, skazany został na cztery miesiące wieży z opublikowaniem wyroku w wielu pismach peryodycznych. Potwarz dotyczyła osobistego składu zarządu Banku i tkwiła w artykułach *Nowosti*. Był tam wykazany gruby szwindel wielkich akcyonaryuszów (mianowicie fikcyjna podstawa obliczania dywidendy, urojone rozchody itp.). Do nadużycia przyznał się obecnie przed sądem sam prezes, opinię artykułów wrzekomo potwarczych podzieliło ministeryum skarbu, ba nawet zarzuty dziennika okazały się identycznymi z zarzutami skierowanymi niegdyś w stronę uznanych przez sąd kryminalny nadużyć błogosławionej pamięci banku saratowsko-symbirskiego, a jednak p. Notowicz został surowo ukarany. Tak chciała *ananke*. To też nie dziw, że niektóre organy prasy ruskiej przeczuwają w tym wyroku zamach na „rozumną działalność prasy.“

Nowy prezydent Mińska, hr. Czapski, wlał otuchę w serca obywateli tego grodu, ponieważ przyrzekł dozór nad ścisłem prowadzeniem rachunkowości miejskich. „Groszem publicznym szastano tu na wszystkie strony — powiada kor. *Wieku* — a ten tylko nie korzystał, kto nie chciał. Łupiestwo rozwinięte tu było bez granic, nic tedy dziwnego, że wkrótce znikły posiadane z dawnych czasów kapitały, natomiast znalazły się długi, a budżet miejski stale wykazuje niedobory. Ostatecznie miasto, już będące w złym stanie finansowym, zrujnowało się budową teatru, budowanego nie wiedzieć dla kogo.“ Oj, co to, to nieprawda, widocznie korespondent przez dyskrecyę zamilczał, dla kogo, bo przecie przeciętny mińszczanin bardzo dobrze wie, dla kogo?..

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Nowe kopalnie.

Terytoryum królestwa „czarnych dyamentów“ u nas nie przestaje się powiększać. Na gruntach olkuskiego leśnictwa rządowego w pow. będzińskim odkryto nowe pokłady węgla kamiennego. Znajdują się one w następujących miejscowościach: w rewirze Łagiska gminy Bobrowniki pod powierzchnią 61 stóp 3 cali, warstwa grubości 2 stóp 2 cale; w rewirze Sączew tejże gminy pod powierzchnią 134 stóp 2 cali,

grubości 2 stopy 8 cali i w rewirze Łagisza na obszarze zwanym „Psarski las" pod powierzchnią 9 stóp 7 cali, grubości 2 stopy 8 cali. W temże samem leśnictwie, w miejscowościach Ujście, Błonie i Maćki, w obwodzie administracyjnym gminy olkusko-siewierskiej, tj. w miejscu odkrycia węgla kamiennego, zapewne wkrótce rozpocznie się eksploatacya. Oto są grunty, które nią mają być objęte: „Jan," przestrzeni 397 morgów 282 prętów; „Józef," 345 m. 246 p. (w lesie Porąbka i na gruntach kolei Wiedeńskiej i Dąbrowskiej), „Aliks" 387 m. 112 p. (w lesie Porąbka i na gruncie kolei Dąbrowskiej), „Gaston" 349 m. 109 p. Grunty te do użytku kopalni p. Wasala zostaną oddane w d. 3 czerwca r. b. Jednocześnie w tejże samej miejscowości p. Julian Strasburger w imieniu warszawskiego towarzystwa kopalni węgla i zakładów górniczych stara się o prawo eksploatacyi pokładów węgla w miejscowościach: „Henryk," przestrzeni 311 m. 250 p., „Leopold" 386 m. 9 p., „Władysław" 287 m. 111 p. i „Wanda" 406 m. 159 p. Oddanie ich do użytku nastąpi 4 czerwca r. b.

Centralizacya szkolna.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu obdarzone było niedawno (16 maja) wnioskiem kuratora okręgu naukowego w sprawie szkół rzemieślniczych. Przemysł fabryczno-rzemieślniczy gubernii warszawskiej wraz z Warszawą dosięga rocznie 80 milionów rubli w produkcyi, na 1,004,000 mieszkańców płci obojej w tej gubernii liczba włościan wynosi 905,000. Ponieważ Warszawa jest ogniskiem życia przemysłowego, w niej się zbiega dużo kolei żelaznych, łączących z nią pięć miast gubernialnych, Kalisz zaś, Płock, Łomża i Suwałki znajdują się w pobliżu stacyj dróg żelaznych, prowadzących do Warszawy, a zatem dla chcących się kształcić fachowo jest ona dostępną, ponieważ przytem posiada zasób sił naukowo-wykładowych, przeto kurator uważa za odpowiednie: 1) utworzyć w Warszawie połączoną szkołę średnią i niższą techniczną ze specyalnymi oddziałami: mechanicznym, chemicznym i budowlanym w każdej; 2) przy szkole trzyklasowej miejskiej, w miarę możności, lub przy szkole imienia Konarskiego, urządzić szkoły rzemieślnicze z oddziałem ślusarskim i stolarskim; 3) pozostawić inicyatywie *prywatnej* otwieranie równie w Warszawie jak i innych miastach szkół rzemieślniczych z takiemi rzemiosłami, jakie według tych osób okażą się niezbędnemi. Podobno odnośne sekcye Towarzystwa uznały ten wniosek, lecz zarazem położyły nacisk na potrzebę rozwoju szkół rzemieślniczych w *całym kraju...*

Szkoły. Ministeryum dóbr państwa wydało pozwolenie obywatelowi ziemskiemu w gub. chersońskiej, Skarzyńskiemu, na utworzenie w jego majątku szkoły rolniczej z oddziałem rzemieślniczym. Właściciel przeznacza budynek wartości 50,000 desiat. gruntu; ministeryum zapewnia roczną zapomogę.

— W żeńskich zakładach naukowych w kraju nadbałtyckim wprowadzony wkrótce będzie język wykładowy ruski.

— Doroczny popis uczniów i uczenic instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie odbędzie się 18 czerwca.

— Świeżo zatwierdzone kursy bezpłatne rolnictwa mogą być otwierane przy wszystkich instytucyach, pozostających pod zwierzchnictwem departamentu przemysłu i rolnictwa. Programy mogą być różne, zależnie od potrzeb i warunków miejscowych. Na kursy mogą być przyjmowani nauczyciele ludowi oraz wszelkie osoby ze sfery nauczycielskiej. Inne osoby będą przyjmowane tylko za pozwoleniem ministeryum dóbr państwa. Wykład dwojaki: teoretyczny i praktyczny. Program wykładów obejmuje także wycieczki do wzorowych gospodarstw rolnych.

— Pomimo opracowania projektu zmian w ustawie petersburskiej Akademii lekarskiej, sposób przyjmowania kandydatów na r. p. pozostaje bez zmiany.

— Egzaminy piśmienne *maturitatis* we wszystkich gimnazyach Królestwa Polskiego z języków: ruskiego, łacińskiego i greckiego będą powtórzone, na mocy postanowienia kuratora warszawskiego okręgu naukowego.

— Egzaminy na stopień felczerów naznaczono na 30 maja w audytoryum instytutu anatomicznego, uczniów zaś I-go kursu felczerów dnia następnego.

— Stała komisya do sprawy wykształcenia technicznego przy ruskiem Towarzystwie technicznem ofiaruje gotowość udzielania odpowiedzi i wyjaśnień na wszelkie zapytania osób prywatnych lub instytucyj w kwestyach wykształcenia fachowego.

— Przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzono komisyę do rozpatrzenia sprawy organizacyi wyższego wykształcenia agronomicznego.

Wiadomości społeczne. W r. b. spodziewany jest napływ galicyjskich robotników do robót polnych w Królestwie. Z tego powodu kolej Wiedeńska udzieliła już pozwolenia na przejazd po taryfie zniżonej dla niespełna 1,200 osób.

— Zmarły niedawno w Warszawie emeryt Adam Sławiński, zapisał między innemi: na cele wychowawcze dla kształcącej się młodzieży, pochodzącej z rodzin Sławińskich i Strawińskich rs. 10,000 i na rzecz zakładu paralityków rs. 4,500.

— W Petersburgu przedstawiciele prasy naradzają się nad planem uczczenia 25-lecia nadania prasie swobody.

— Na obradującym obecnie w Jolimont kongresie górniczym, angielscy delegaci żądają organizacyi stowarzyszeń, opartych na zasadzie samopomocy; belgijscy — upaństwowienia kopalń.

— Kapitaliści w Łodzi tworzą spółkę udziałową w celu urządzenia stałego teatru niemieckiego.

— Z Wiednia telegrafują, iż w Sandżaku nowobazarskim panuje głód.

— Z Tobolska donoszą o panujących tam obecnie na znacznej przestrzeni mrozach i zamieciach śnieżnych. Bydło niema paszy, zasiewy się psują, ludzie są zrozpaczeni.

— Lupanary w Warszawie mają być usunięte z tych miejscowości, gdzie są kościoły i zakłady naukowe.

Sprawy kolejowe. Rozpoczęto roboty przygotowawcze do budowy nowej kolei Kijowsko-Łozowskiej, łączącej Kijów z linią Charkowsko-Sewastopolską.

— Układane są obecnie drugie tory na liniach: Kursko-Kijowskiej, Fastowskiej, na gałęzi Południowo-Zachodnich, od Kijowa do Równa, następnie między Żmerynką i Birzułą. Roboty oceniono w przybliżeniu na 7 i pół mil. rs.

— Na przyszłem zebraniu ogólnem akcyonaryuszów Towarzystwa kolei Bydgoskiej rozstrzygany będzie projekt zabezpieczenia kosztem 17,000 rs. odnogi ciechocińskiej od podmycia i powodzi wiosennych, tudzież wzniesienia na stacyi Kutno zabudowania wodnego kosztem 22,500 rs.

— Na zebraniu akcyonaryuszów głównego Tawarzystwa kolei ruskich postanowiono zwiększyć kapitał obligacyjny o 16 milionów rs., potrzebnych głównie na przeprowadzenie drugiego toru na liniach Gatczyna Biała, Psków, Dynaburg, Landwarów, Warszawa i Moskwa-Niżny Nowogród.

— Ubiegła bezśnieżna zima korzystnie wpłynęła na dywidendę wielu kolei, z powodu małych wydatków na uprzątanie linij.

Konkursy. P. Galasiewicz otrzymał nagrodę 300 rs. za sztukę ludową, nadesłaną na konkurs *Echa muzycznego.*

— W konkursie *Rolnika i hodowcy* na najpraktyczniejsze wzory rejestrów gospodarskich weźmie udział w charakterze sędziów kilkadziesiąt kółek rolniczych w Królestwie oraz w guberniach północno i południowo-zachodnich. W celu zapewnienia sędziom możności nietylko dokładnego zaznajomienia się z nadesłanemi pracami, lecz wypróbowania rejestrów w praktyce, tudzież poczynienia uzupełnień i zmian, wszystkie będą odbite w odpowiedniej liczbie egzemplarzy i rozesłane na niespełna rok. Termin rozstrzygnięcia konkursu 31 marca 1891 r.

— Na konkursie Anczyca na napisanie sztuki ludowej, przyznano nagrodę 235 złr. z procentami Seweryn Maciejowskiem za sztukę „Dla świętej ziemi."

Wystawy. Departament rolniczy opracował przepisy racyonalnego urządzania wystaw nasion w różnych miejscowościach państwa.

— Wystawa żeglugi odbędzie się w Petersburgu.

— W celu przyjścia z pomocą drobnemu przemysłowi wiejskiemu, postanowiono urządzać ruchome wystawy wzorów i warsztatów.

— Doroczna jednodniowa wystawa koni odbyła się w Wilnie jednocześnie z wyścigami. Za 23 okazy rozdano włościanom ogółem 350 rs.; nagrody wynosiły po 10—35 rs.

— Do wol. Tow. ekon. wniesiono projekt wystawy ruchomej narzędzi rolniczych i maszyn odpowiednich do gospodarki włościańskiej.

Zjazdy. Do ministeryum oświaty wniesiono podanie o urządzanie peryodycznych zjazdów przedstawicieli wykształcenia zawodowego.

— W Moskwie odbędzie się zjazd właścicieli młynów parowych w listopadzie r. b.

— Na kongres więzienny w Petersburg przybędzie 150 delegatów, w tej liczbie kilka kobiet, zajmujących stanowiska inspektorów zakładów poprawczych dla małoletnich.

Zdrowie publiczne. Projektowanem jest obowiązkowe utworzenie posad ziemskich agentów sanitarnych.

— W Warszawie sędziowie pokoju w ciągu tygodnia ostatniego za wykroczenia sanitarne skazali 13 właścicieli domów na kary pieniężne w ogólnej sumie 336 rs. W tym samym czasie komisye sanitarne zrewidowały 315 posesyj, a w 28 znalazły rozmaite wykroczenia i pociągnęła gospodarzy do odpowiedzialności sądowej.

Przemysł. W Warszawie puszczono w ruch fabrykę patentowanego papieru elastycznego do pakowania flaszek, szkła i porcelany. Zakład zatrudnia 20 dziewcząt z płacą 60 kop. dziennie.

— Tutejszy Bank handlowy udzielać będzie zaliczenia na wełnę w składach tranzytowych przy kolei Terespolskiej.

Wiadomości administracyjne. Zarząd Tow. opieki nad zwierzętami udał się do p. oberpolicmajstra z prośbą o zakaz trzymania słowików w klatkach. Dlaczegóż tylko słowików?

— Z powodu znacznie zwiększonej pracy w wydziałach kas magistratu, zarząd miejski zwrócił się do władzy wyższej z przedstawieniem o podwyższenie etatu i pensyi urzędnikom.

— Wydział kontroli sług opracował projekt nowego podatku szpitalnego, na wzór składki opłacanej przez czeladników rzemieślniczych.

Sprawy literackie. Kupiec tutejszy, p. W., postanowił wydawać zeszytami dzieło pedagogiczne ilustrowane dla dzieci, z kolorowemi tablicami, zamówionemi w Salonie spółki artystów. (*Kur. warsz.*).

— Adam Pług od 1 lipca obejmuje kierownictwo literackie *Wędrowca.*

— *Minuta* donosi, iż wkrótce ma być wydane rozporządzenie, na mocy którego redaktorami pism wychodzących bez cenzury (w Petersburgu i Moskwie) nie będą mogły zostać osoby pochodzenia żydowskiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu W. Kr. w Złot. Niech Pan wierzy naszemu przekładowi; tak jest, jak być powinno: „Powiedz, luba niewiasto, liczbę pszczół." Jeżeli zaś p. Mahrburg, krytyk *Światu*, nie może w tych wyrazach dopatrzeć „sensu," to nie mamy rady, bo i my również nie widzimy owego sensu, ani, niestety, ani w jego uparcie i bez znajomości rzeczy powtarzanych zarzutach, ani w jego koncepcie o „dokuczliwych owadach." Poważny pisarz, za jakiego mieliśmy p. Mahrburga, powinien strzedz się zarówno karcenia kogoś swoją niewiedzą, jak i obrażania swawolą pióra.

Prenumeratorce obu pism. Czy podobna być bocianem i wszystkie te żaby wyławiać?

Panu G. U. w W. Oprócz „Bezd.," który jednakże jest za malym drobiazgiem, ażeby go umieszczać osobno, inne wierszyki nie dla *Prawdy.*

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

OFIARY.

Dla biednych. Z. J. rs. 5.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 18 Мая 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.